SZTVKA

ZESZYT XVI–XVII

SEN O WIOSENNEM ŚWITANIU

W. H.

...Tu kredą koło zakreślił na stole
A potem *z środka* promień wywiódł w kole
I mówił:
— Środek, który centrum znaczy,
Znaczy i sposób w tym polskim języku,
Który *ma w sobie i w ludziach słuchaczy:*
Otóż — to jeden sposób! — O mistyku
Największy, Piaście stary, tyś to wiedział
Od złotowłosych pielgrzymów z za świata...
. . . .
Tu zamilkł. Potem rzekł: — Ta cała krata
Promieni, *w formy* strzelających przedział,
To są *prorocze* wnętrzności narodu
A wieszczów wieniec to *linia obwodu*
A wnętrzny koła *astr,* skąd są promienie,
To przenajczystsze narodu sumienie...

NORWID.

Słoneczną baśń — świetlany sen wiosenny ludu
I onę kmiecą chatę powiem, — pełną cudu,
Pełną ptaszęcych śpiewań i miodowych woni,
Gdzie w blaskach przypołudnia,
śród kwietnych jabłoni,
Snuje się z cichym brzękiem pszczeli rój skrzydlaty.
Więc pokażę, — na progu przygopłowej chaty —
Matkę, z dzieckiem na ręku, któremu nad czołem
Zorza płonie, — i pszczoły złotem brzęczą kołem;
Pasterze trzód kruszwickich, woje i supany
Zjawią się — w świetle gwiazdy — przyklękłe kolany
Przed dzieckiem w pszczelim wieńcu i w jasnym pozorze;

Zaś powiem, jak światłoście święte, — męże boże,
Anioły dwa, — niosące objawienia słowo
I spraw ogromnych wieszczbę — chwilą przedświtową
Weszły do onej chaty, ulami pachnącej,
Niskiej, w sadach zaszytej — gdzie piastun widzący
Pszczelich królestw — na syna postrzyżynne gody
Spraszał gości — i sprawiał cześć — i sycił miody.
Ono tedy poselstwo aniołowe wieszcze
I świętą Polskę powiem, która w ten czas jeszcze
W jezierne mgły spowita — w tajemnic tumanie
Z gopłowych łąk witała — by wiosny zaranie,
Jak te wieśniane świty — złotem zórz promienna,
Baśni mgłami owiana, przeczuciami senna,
Zaciszna, majem wonna, śpiewna i tęczowa,
Brzemienna cudem, płodna złotem ziarnem Słowa.

Śród błonnych łęgów, na ple, u Gopłowej toni,
Zaklęsła w chłodnej gęstwie okwitych jabłoni,
Stała licha Piastowa kleć. Była to chata
Krągła, jak ule, żytniem poszyciem brodata,
Na którem bożec bagien kruszwickich, król gadom,
Ptak proroczy, tajemnic podniebnych powiadom,
Bocian, wieszcz dni jarowych, — miał usłane gniazdo.
Zgrzybiała była chata, i strzeżona gwiazdą,
W której dwanaście przęseł na brzozowej piaście
Chodziło — we znak Piastów kołodziejskiej snaście,
Rodowego rzemiesła. I jaskółcze gniazda
Tuliły się pod wiechą — skąd powietrzna jazda
Wdzięczna i chyża — krążyć wypierzchała z wrzawą.
W ogrodzie strumień szczyrkał srebrzystą szreniawą,
Zaś kołem chyży — ule stały, słomą kryte;
Przed nią — drzewo: zgrzybiałe, pochyłe, okwite,
Jabłoń — rodną rosochą bujnie się rozrosła;
Jej śniąt, blizn pełny, troje niósł krzewiste trzosła,
Rzeźwą wonią darzące, i cienistym chłodem,
I napojem upojnym, i karmiącym płodem.
Za sadem — pozorzysty łęg w stronę jeziora
Schodził połogo; dalej — mokradła, bajora,
Sędziwe bory drzemią... zaślepłe kałuże
Lśnią się sennie... gdzie-niegdzie połogie pagórze,
Ług zielenieje. Na nim płaczą blade wierzby,

Olchy szumią... I rzędem kmiece stoją dzierżby:
Chyże, krągłe jak ule, koszową ulicą
Na palowych pomostach ponad trzęsawicą
Ciągną się, każda barcią opasana, sadem
I płosą ornej ziemi; zasię ścieży śladem
Łączona z wymoszczonym śród łęgów gościńcem.
W oddali — kołmi grodzon — obronnym się tyńcem
Wzniósł gród kruszwicki — twierdza pośród grzęzawiska.
Dalej leżały ślepe, siwe jezierzyska
I dziwe uroczyszcza, — wyżnie, duchom klęte,
Kędy prastara Prawda żywie — Prawo święte,
Jasna wiedza, prawieciom drzewiej objawiona,
Ninie śród jezior, w czarnych borach zatajona,
Wklęta w gadki uroczne, w gusła tajemnicze,
W światowidowe złote poczwórne oblicze,
W korowody kupalne, w koła kolendowe
I w Słowa cud słoneczny: w Słowian wieszczą mowę.
— Onych-to świętych tajni gorliwiec i wiastun
Był Piast — kołodziej: znachor, leśnych barci piastun,
Z pobrzęku pszczelich pasiek, z polotu gołębi
Z ruchów owiec, z obłoków iścia w jezior głębi
Roczący rzeczy przyszłych znamię.
Dziatek troje
Zrodziła mu niewiasta: dwie córy-dziewoje
Chowały się u matki — i chłopię-synaczek.
Wieszcze dziecię i cudne, zjawieniec, jaśniaczek,
A na wsi od gromady zwan był pszczeli książek;
Jak nad kwiatem — nad skronią mu jasną pszczół krążek
Polata, i tęczowe snują się motyle,
Że w tęczach, i w pszczół wieńcu, śpiewające mile
Chodzi ono dzieciątko. Ni nędzi, ni kuczy,
Z kwiatami gwarzy, pieśni od ptasząt się uczy,
To się z jagnięciem pieści, to z bydlątkiem gada,
Nad oną niemą twarzą, by kniaź jasny, włada:
Pszczeli król złotowłosy, motylowe słońce,
Dzieciątko wieszcze, zioła i kwiaty znające.
A właśnie mu się były wypełniły roki,
Że go postrzygać miano; jako przez proroki
Rzeczono było oćcom: że w grzechu spłodzony
Wszelki, jako baranek winien być strzyżony,
Włos w żarzyźnie oddając za rodzaju winy.

Tedy jeszcze z wieczora — na te postrzyżyny
Chyż przystrojona była we wieńce, równianki:
A k'temuż świątki były zielone, Wieśnianki,
Swadziebne młodej Ziemi z Oblubieńcem gody.
Brzmiały wesela ptasze, kwitnęły ogrody,
Bielił się świat. Wieśniany wiew kwitnące drzewa
Chybał letko, i wonna kwiecista ulewa
Padała, szemrząc, na wód bledziskie błękity,
By puch skrzydeł anioła, co w one przedświty
Zlatywał budzić ziemię z zimowego spania,
Skrzydlaty, z różdżką kwietną, zwiastun zmartwychwstania.
A w noc przed onem świętem — wieszcze są i cudne
Sny o wiosny świtaniu — zwidzenie ułudne
Miał Piast — jakby o synu zwiastowania boże,
Że zbudził się z jasnością w sercu. Właśnie zorze
Zapalały się, gasła źrenica jutrzenki...
I powstał dzień, i ptasze zabrzmiały piosenki,
Rzewne rannemi rosy modliły się kwiaty —
I Piast stanął na progu umajonej chaty.
Pojrzał we świat. — Hej, jasne-ć to było zaranie!
Mgły się u wód nosiły. W przywodnym tumanie
Kwiatuszkowe oczęta w łzach się rozwierały,
I we mglanem giezłeczku, w kwietnej szatce białej,
W przędzionach ros, powisłych na młodej wicinie,
Zdała się ziemia jasnej podobna dziewczynie,
Rosą płacząca, przez łzy słońcu odśmiechniona,
Niby oblubienica, gdy tęskne ramiona
Rozwiera jasna, razem radosna i drżąca
Nadzieją i tęsknotą. Rosami płacząca
Stała ziemia, i zjęta onym lubym dreszczem,
Wieśnianą tęgą... złotym promienistym deszczem
Zlana wszystka, w kwiatowe przystrojona wstęgi...
A już od ziemi rozpar ony wstawał tęgi,
Żyzna moc i stosiła, zbożne urodzaje
Wieszcząca; już po łęgach jaskry i mleczaje
Jęły się k'słońcu zwracać źrzenicą promienną.
Budziła się Kruszwica na radość wiosenną:
Pasterze szli, po wyżniach święcić wiosny gody
I wiciną latosią gnali białe trzody
Pieśń śpiewając. Z Gopłowych wód pławione krowy
Na trawę wychodziły, i szły we mgle płowej,

Porykując ku słońcu. O wiośnianym świcie
Nieśli rolnicy jary przynos, by okwicie
Na niwę, na nowinę Swarogowi klętą
Lać złotym deszczem ziarna w zmartwychwstania święto
I dar oblubieńcowi przednaszać swadziebny.
I Piastów dwór się budził. Więc w koszuli zgrzebnej,
U rębów krasną nicią wzorzyście pisanej,
Która w słońcu złociła się, jak pszenne łany,
Bławatkiem i kąkolem przetykane szczodrze,
Ogorzałem ramieniem, opartem na biodrze
Dzwigając dzban gliniany, wielki, pełny miodu —
Szła od świrnia Rzepicha. Rzekłbyś — Pani płodu,
Żywija karmicielka, bogna jasnowłosa;
Rzekłbyś — odziana płaszczem pszenicznego kłosa
Ziemia, ode dżdżów czarna, złotym chlebem płodna;
Stanęła, wszystka słońcem oblana, dorodna,
I brzemię swe na ławie stawiąc, pod jabłonią,
Jedną rękę na dzbanie wsparłszy, drugą dłonią
Osłaniając źrenice, oślepłe od słońca,
Szepnęła zachwycona: Jej światłość jarząca...
Rozlała się też ano kwiecista ulewa...
Swarożyc to, pan jasny, Żywiję odziewa
W one swadziebne szatki, we kwiaty i wstęgi,
A ona, prostowłosa, przez pola, przez łęgi
Idzie, a kwiaty sieje, wdzięczne śpiewa pieśnie...
Wcześnie nam latoś wiosna zawitała, wcześnie,
Wcześnie swadziebnym wiankiem stroi się Żywija...
Pomnisz to, Piaście — latoś siedem roków mija,
Właśnie, kiedy się jasne rodziło nam dziecię,
Też się tak wcześnie ziemia przystroiła w kwiecie,
Że choć się miesiąc Łady czedł, już na nowinie
Młode się żyto bujne runiło, jak ninie...
— Jeszcze baczę, jakem szła do Żywii gaju
Na wywodziny — przynos czynić po rodzaju:
W białym lasku brzozowym modrzą się dzwoneczki,
Gęste, gęste... Żywija, strojna w równianeczki,
Poziera w świętej wody bezedne topiele...
Sad święty stoi, strojny w wonne kwiatów biele,
Brzęczy pszczelna pasieka, płodu bognie klęta...
I na onej dzieciny złociste włosięta
Kwiecie jabłoni bielą sypie się pachnące...

Że gospodynie świętych ziół, pszczoły brzęczące,
Blaskiem włosów zwabione, czy wonią kwiatową,
Kołem mu polatują brzęczącem nad głową
Wianuszkiem żywym...
Piaście, w cóż zasię wyrośnie
On kwiat kupalny, co nam zawitał o wiośnie,
Dzieciąteczko słoneczne, książek z główką złotą?...
...A dziś mu mianowiny święcić będziem oto
I w żertwie ubłagalnej włosięta żedz będziem...
Odrzecze Piast: Z wieszczebnem o synu orędziem
Nawiedziły mnie we śnie dzisiaj duchy boże.
A to tak było: Bowiem, gdy zagasły zorze,
Wyszedłem obejść sady i najrzeć w opłotki;
Szemrze strumyk, ze ziemi idzie rozpar słodki,
Niebo gwiazdami skrzy się — owoć u wrót stoję —
Aż tu po onem niebie skrzącem — jakichś dwoje
Przeleciało: — skrzydlate widno były duchy,
Bowiem roniły z wiatrem białe skrzydeł puchy...
A w górze coś-ci śpiewa, a w powietrzu wonie...
Przeleciały cichuśko nad kwietne jabłonie,
Musnęły skrzydłem — kwietna upadła ulewa,
Zaszemrał głośniej strumyk, i westchnęły drzewa, —
A one duchy — mglaną srebrzystą poświatą
Stały na wietrze — dłonie trzymając nad chatą,
A śpiącej mojej chacie jakby błogosławiąc;
Potem, srebrzystą zjawą snując się i pławiąc,
Światłościami obdając uśpioną Kruszwicę,
Poleciały na sady — a jasne mgławice
Za niemi się na wiatrach rozsnuły, i wonie;
Aż się we mgłach rozwiały w tamtej Gopła stronie.
A jak miarz miesiąc pełny wychodził z jeziora...
...Więc gdym się na wezgłowiu ułożył z wieczora —
Aż znowu mnie zwidzenie najdzie: Więc w pierwośnie
Zdałem się być nad wodą. W onej wodzie rośnie
Dziwokwiat jakiś — stokroć, światłem skrząca cała:
Miasto płatków — języki płomieniste miała,
Że jako rajskie dziwo, jak podziemne słonie
Zdał się on kwiat kupalny we złotej koronie,
Blaskami i promieńmi i zorzą upowit.
Potem ów kwiat złocisty, promienny ziemowit,
Jął się, rosnąc, wynurzać z przeźroczystej wody,

Że świat się wszystek rozślnił od jego urody
I wszystka ziemia zorzą stała upowita.
Rośnie kwiat promienisty, z ziemie, jasny, wita,
Na złotych oblateczkach, na promiennej rzęsie
Rosa mu się jarząca wisiorami trzęsie...
Wita kwiat z popod ziemie, rosą, skrami pierszy,
I w tarczę, złotem skrzącą, w okrąg coraz szerszy,
W jasne się porankowe słońce rozpromienia.
Czar-ziele, kwiat-płomieniec, — że od jego lśnienia
Rumiannością zaranną spłonęły niebiosa
I na trawy i zioła wyszła ranna rosa.
A kędy padły jego promienne oblatki,
Tam ze ziemie wieśniane wynikały kwiatki;
A kędy się rozsuły jego jasne płaty,
Tam jasnem kwieciem źrzały przygopłowe światy;
Aż rozskrzyły się łęgi we świetle, we złocie,
Strojne w jasność kwiątową, w jaskry i stokrocie.
— Tum przecknął... Cichość była... wyszedłem przed wrota —
Miesiąc świeci się, pełny, jasna droga złota
Ściele się po jeziorze, by niebiańska droga,
Rajska ścieża, most złoty aż do chaty proga.
Obszedłem barcie, sady, zajrzałem w wągrody —
Śpi wszystko, jedno szumią cichuśko ogrody,
Jedno kapią rosami traw powisłe listy
I miesiąc lśni — i na mnie poziera świetlisty...
I skrzydeł gdzieś łopotem nocny ptak polata...
A gdy tak Piast powiadał — rozwarła się chata
I dwie dziewki Piastówny wyszły na przeddźwierze.
Obiedwie — lniane miały bieluchne odzieże
I we wianuszkach były rucianych, i bose.
I dzierżąc się za ręce, jasne, przestowłose,
Stały chwilę przed progiem, na słońcu — a potem
Wybiegły na ogrody, z ptaszęcym szczebiotem
„Świt, świt, wołając — wiosna, ach wiosna-ż na świecie!“...
A z drzew na nie trąconych sypało się kwiecie,
A z brzozy im płaczącej na rozwiane włosy
Rzęsistym dżdżem upadły otrzęsione rosy,
A stopą potrącone sypały się kwiaty...
— Tedy im przykazała mać — k'ubraniu chaty
Wieńców napleść — na brata postrzyżynne gody.
A nim rzekła — już biegły przez kwietne ogrody,

Mignęły gdzieś w gęstwinie — i znikły za sadem,
Jedno się kwiat rosisty chybał nóżek śladem,
Jedno spłoszony z kwiatów, żółty rój motyli
Wirował na błękicie nieba. — Zaś po chwili
Śród łąk się ukazały — jak zjawy wiośniane,
Białe w powodzi kwiatów, światłością oblane,
Od wstęg, co się rozwiały, skrzydlate — kraszanki.
W rękach im kwietne więzi, tęczowe równianki
Na słońcu lśniły, by tych skier promiennych krocie;
Że widząc, jako idą w słonecznej pozłocie,
Chyląc się, w trawach tonąc, w bieluśkich giezłeczkach,
Rzekł Piast: „Obacz-że, jako płyną po kwiateczkach,
By one białe zjawy, co po złotej ścieży
Przyszły do mnie skrzydlate, w promiennej odzieży,
I oświeciły chatę, i na mą dziecinę
Klęcia rzucały — a mnie przedrzekły nowinę;
Bom ci był rzekł snów onych promiennych początek,
Alić mi dziewek przyście słów zerwało wątek — —
— A dziwne były wieszczby... Wróciwszy do chaty
Ległem — i znów śnić pocznę: kwitną słońca-kwiaty,
A na niebie Cudokwiat, Dziwe-Słońce gorze,
A od słońca nić złota bieży po jeziorze
I przez wodę trop złoty, jasną drogę mości;
Aż-ci z tej, co na niebie gorzała, światłości,
Z onego dziwokwiatu — dwa duchy-płomieńce
Wyszły, kras pełne. Zstąpią na brzeżne kaczeńce
I po onym promieniu idąc, przez tę ścieżę,
Co się rajskim gościńcem ściele po jezierze,
Po złotym moście — dążą tu, do naszej kleci;
A gdzie stąpią — ich śladem ług się brzeżny kwieci.
Przeszły sadem — i poprzez zawarte wierzeje
Bez odgłosów nijakich — widno — cudodzieje
Przeszły próg, — i blaskami napełniły chatę,
Gędźbą, śpiewem i wonią. A były skrzydlate
I błogosławne miały, pełne łaski dłonie
I one — cicho kładły na dzieciątka skronie,
Znamię mu krzyża czyniąc nad czołem trzy razy,
Rokując słowo, pełne tajemnic, przekazy,
Wieszcze jakoby przyszłą dzieciąteczka sędźbą;
A w izbie im potrzykroć przygłośniejszą gędźbą
Coś się, jakoby głosy odzwało ptaszęce.

A gdy mu tak na czele władne kładły ręce —
Nad czołem dziecka światłość widzieć mi się zdało.
A potem ku mnie twarzą zwróciły się białą,
I bardzo przeraźliwą, i pełną jasności,
Żem się strząsł z przerzaśnienia. Zaś oni, światłości
Od czoła miecąc, stojąc w blaskach i w piorunie,
Rzekli mi: Piaście, pszczelej pasieki piastunie,
Stała-ć się, boży kmieciu, radosna nowina:
Bowiem jutro, o półdniu, w postrzyżyny syna
Nawiedzą-ć święte duchy, rozesłańce boże,
I postrzygą-ó synaczka, i objawień zorze
Zleją na jego głowę; zaczem przed dziecięciem
Klękną ludy — i Pan je uwielbi książęciem. —
A to-ć znak będzie: oto w twej chacie gwiaździca
Rozpłoni się tak jasno, że wszystka Kruszwica
I wszystkie wsie, i łęgi, i Gopłowe morze
Od onej gwiazdy będą miały złote zorze,
I spłomienieje kniazia-popielowy tyniec.
To rzekły — zmilkło pienie, złoty zgasł gościniec, — —
A jam przecknął. Poglądam, — izba jasna cała,
Wszystka w miesięcznem świetle, wszytka srebrna, biała.
U truliczki synkowej — siestrzyce-dziewoje
Chylą się, w giezłek bieli, którą w srebrne stroje
Odmieniał miesiąc — i kos puszczonych strumienie
Leją się na dziecinę, by złote promienie,
A na włosach miesięczna mieni się poświata.
I mówią dziewki, że je zbudził głosek brata
I że się dziecku pewnie coś zwidziało we śnie,
Bo roiło przezsennie o kwiatach, o wieśnie
I o jakichś słonecznych zwiastunach — panicach
I o jakichś nade wsią zorzach i gwiaździcach
I o jakichś na wodzie pozłocistych płosach.
Wstałem pojrzeć na dziecko — z rączyną na włosach
Śpi spokojnie, — a liczko, miesiącem promienne
I snem rumiane — śmiechy mu wdzięczą przezsenne.
I zasię-m się nawrócił spać — i jakaś tużba
Naszła mnie... Powiedz, żono, jaka snów tych wróżba...
Rzekł — i wzrok zadumany obrócił ku żonie.
Stała, ręką wspierając zamyślone skronie
I w myślach ważąc wieszczby mężowe przezsenne.
A jako gdy na role, zbożnem ziarnem plenne

Żywą rosą upadną majowe ulewy,
Że ode dżdżów rzęsistych — one pszenne siewy
Bujnym wystrzelą kiełkiem, — tak te senne baśni
Lały się w jej matczyne serce, pełne jaśni,
Siewem przeczuć i marzeń macierzyńskich płodne.
I w duszy jej widzenia słoneczne, pogodne
Znowu się kwiecić jęły, — po stokroć prześnione,
A nigdy nie wyznane, w sercu zatajone, —
Lub cichuśko śpiewane u dziecka kołyski,
Kiedy mu się nad głową rozlśnią jakby błyski
I gromady się nad nim kołyszą łabędzie
I ptak nad nim w niebiesiech ciche pieśni gędzie,
A ona roi, myśląc: oto mu nad głową
Duchowie boży wielkie jakieś szepcą słowo,
Głosem jemu ptaszęcym wieszcząc Sławę-dolę,
Pozdrowieniem niebiańskiem witając pacholę...
Tak ona macierz dobra w rzewności serdecznej
Wspominała, słuchając powieści słonecznej...
I zasię rzekła: — Piaście, mnie się zdało wczora,
Gdy gasły zorze... i mgły wstawały z jeziora...
Że jakichś tutaj dwoje nad sadem leciało...
Jedno-m nie śmiała mówić... przyodziani biało
Oni byli duchowie — i w jasnej otoczy...
O Piaście, sen wiosenny może był proroczy,
Bo-ć mówią, że wieszczebne przynasza wyrocznie
Sen, co się w świątki kwietne przy miesiącu pocznie,
I że niebo rozwiera się tej świętej nocy
I zstępują na ziemię duchowie-prorocy...
Jedno, że nie śmie serce wierzyć w to orędzie...
Już tedy pójdę, Piaście... przy śniednym obrzędzie
Zakrzątnąć się, gotować cześć na postrzyżyny;
A kiedy od łąk z kwieciem powrócą dziewczyny,
Powiedz im, niech ustawią stoły pod jabłonią,
By darzyła drużynę ochłodą i wonią;
I zasię niechaj wieńcem i kwiatową tęczą
Stoły wszystkie i chatę, jak mogą, uwdzięczą;
Bo gdy w ubogim świrniu dla tyla narodu
Niemasz, jedno garść mąki, a stągiewka miodu:
Niechaj im choć te kwiatki, słoneczne jasnotki
Krasą swoją i wonią dar przynoszą słodki,
Niech im choć na gałęzi ten ptaszek zakwili

I śpiewaniem uciesznem biesiadę umili...
I tak rzekąc do izby szła, do swej roboty.
A właśnie od łąk, — z pieśnią, z gwarnemi szczebioty
Wracały dziewki, niosąc kwiatowe naręcze,
Wieńce, równianki wlokąc za sobą, jak tęcze,
Kwiatami umajony mając włos i szaty,
Wdzięcznym wołając głosem: — Kwiaty, kwiaty, kwiaty!
Na kwietnych łąkach trzody się pasą bieluchne...
Krasopanią widziałyśmy, wieśnianą druchnę,
Idzie, a kwiaty sieje, Pierwiosna — Zazula:
Szatki na niej kwiatowe, z mgieł tkana koszula,
A u jej piersi, cienkim przystrojonej rąbkiem,
Tęczowy gołąbeczek tuli się z gołąbkiem,
A wianek jej się śmieje na złotych kędzierzach...
Widziałyśmy bogunki, w pajęczych odzieżach,
Na łące wiodą koła, u wód czynią pląsy,
A za niemi się Pochwist żenie, stroi dąsy,
A igra, a giezłeczka podwiewa i zdziera,
I wije się i bryzga kroplami z jeziera...
Tak szczebiotały dziewki przy kwietnej robocie,
A w rękach im się skrzyły kras przecudnych krocie,
A wdzięcznych pieśni głosy płynęły po wietrze...
I wybierały siostry kwiatki co najbledsze, —
Dzwoneczki, łzom podobne — i z onych lanuszek
Wiły na brata czółko kwietnych łez wianuszek,
Żeby o postrzyżonych i zżeganych włosach
Płakało białe kwiecie, jeszcze całe w rosach.
Potem z białych stokrotek, z wonnej macierzanki
Dla siebie zapaseczki uplotły i wianki:
Z onych stokroci, które są panieńskie kwiatki,
Na snażności świadectwo białe mając szatki.
A zaś napośledź jęły kwieciem zdobić chatę:
Z kwiatów jej krasnych jasną udziałały szatę,
Przyczółek jej wieńcami różnemi obwiodły,
Odrzwia zwieńczyły świerkiem i ciemnemi jodły,
I gwiazdę jej złocistą włożyły na czoło:
Bo u przyczółka Piastów chaty — stare koło
Z wieka toczyło swoje podwónastne przęsła
Na znak kołodziejskiego z pradziadów rzemięsła.
Onę-to Piastów gwiazdę, z trzech krzyży złożoną,
Odziały dziewki w zwojów kwiatowych przędziono,

Przybrały w złotych jaskrów gwiazdki słońcowrotne,
W stokroci i w mleczajów słoneczka stokrotne
I odmieniły w jasność, w cud, w słoneczne dziwo,
W kwiat dwónastopromienny, lśniący tęczą żywą.
— Przez strop kwiecisty niebo przezierało bławo,
I piastowa się chata by wiośnianą zjawą
Zdała, i na wzraz jakby jasnego anioła,
Kwietną gwiazdę z trzech krzyży mająca u czoła
I z gałęzi kwitnących mając białe skrzydła.
Na obraz więc anioła, lub wiosny mamidła
Zdała się chyż — a jako słoneczna świetlica,
Gdzie się zmartwychwstań ziemi iści tajemnica.
Aż się Piast zdumiał cale na one cudności,
Powróciwszy przede dwór oczekiwać gości —
I odpuścił do chaty wdzięczne robotnice
Oblekać się, rosami ziół umywać lice,
Kwieciem włosięta przepleść, przybrać się przy święcie,
A i macierzy nieco przypomódz we skrzęcie.

A gdy wieśniane słońce, z ziół ścierając rosy,
Ćwierć swojej dziennej drogi przebiegło niebiosy,
Kiedy cień krótszy, wiatry stawały się letsze
I polnych ziół oddechem pachniało powietrze —
W piastowym dworze, wdzięcznym kwietnemi urody
Poczęły się dzieciątka postrzyżynne gody.
Tedy naprzód Rzepicha na misie drzewianej
Wyniesła kołacz, na wzraz koła udziałany,
Strojny wieńcem pszenicy o rzęsie złocistej,
Jako słońce w otoczy blasków promienistej.
Z dzbanami na ramieniu, — Piastowe dziewoje
Szły za nią, pośród gości roznosząc napoje
I z pochylonych dzbanów smugą lejąc złotą — — —
Kolebiąc się leciutko pod wiatru pieszczotą
Jabłoń kwieciem sypała na biesiadne stoły
I ptak śpiewał swe pieśnie, i brzęczały pszczoły,
A lud, upojon miodem i wieśnianą wonią,
Gwarzył z cicha za stołem pod kwietną jabłonią,
Tak, jako pszczoły gwarzą, gdy twórczyniom miodów
Złote się słońce marzy na kwiatach ogrodów.
Zasię — byś w serca pojrzał wieśniaczej gromady,
Ujrzałbyś. że niebiańskie śnią im się biesiady,

Łąki jasne i raje, wiecznie cudniejące,
Gdzie złotopióre ptactwo, wdzięcznie śpiewające,
Skrzydeł tęczą polata po kwietnych ogrodach.

A gdy tak lud wieśniaczy na piastowych godach
Weseli się, upojon wiosną, słońcem, miodem, —
Na kniaziowej stolicy, pod kruszwickim grodem
Dziwne się działy sprawy, i ważkie, i grzmiące:
Jakieś się snuły woje, żelezmi brzęczące,
Grzmiał róg, brzęczały brzechwy, tętniły podkowy.
O tych sprawach za stołem lud wiedzie rozmowy.
Powiadał jeden mówiąc: Coś-ci się na tyńcu
Dzieje ponoć; witeziów pełno na gościńcu,
Po jarugach wawelnych i u bron grodziska;
Myśliłem zrazu, że to słoneczne jawiska,
Bo właśnie gasły zorze, wychodziło słońce, —
Aż tu na wielkich źrebcach, by słoneczne gońce
Pędzą w zbrojach, w przyłbicach, odbite w jeziorze,
A tarcz, gwoździmi nabita, jak gwiaździca gorze,
A z mieczów słońce miece strzały piorunowe,
A u bark im się srożą skrzydliska orłowe.
Idę dalej — aż naraz za mną coś zawarczy:
Skoczyłem na bok z drogi — ze słońcem na tarczy
Przeleciał witeź: pod nim był koń srogi, gniady,
Ten czasem młyńcem chodził, czasem się na zady
Jako smok wspinał, czasem bił o ziemię nogą,
Kiedy go jeździec spinał złocistą ostrogą,
Albo czerwone pyski zjął twardem wędzidłem.
A witeź leciał drogą, warcząc w wietrze skrzydłem,
Aż dobiegł tej gromady, co zjeżywszy włócznie,
Pod tyńcem stała. Witeź zatrąbił przewłocznie,
Gromada odegrzmiała — aż tu z tynu, z wałów
Jak się sypnie kamienie, deszcz brzechw, szypów, strzałów —
Ogromnym głosem rykły popielowe wieże,
Aż mię lęk zjął, i zszedłem na przydrożną ścieżę,
I obchodziłem kołem gopłowe jezioro.
Odrzecze inny: — Woje zamek pono biorą —
Mają Popiela zegnać z kniaziowej stolicy;
Pono już wici płoną w całej okolicy.
— Boć też już ludzie, była, oj była potrzeba,
By przyśpiało na kniazia pokaranie z nieba:

Bo Popiel — pan okrutny, ludzkich łez nieczuły,
Pomnożył dziesięciny, podwody, posuły,
Podatki z miodu, chleba, poradlne z oracza.
Kara nieba na zbójcę, na krwie rozlewacza,
Dopust boży na kniazia, — srogiego morderza.
Pobił stryjce — na niego dziś inszy uderza;
Pobił stare dworzany, co za jego zbrodnie
Upominać go chcieli: pomnę-ć te pochodnie
Żywe, pozapalane w kniaziowych ogrojcach,
Albo z trzewiem wydartem, po borach, na chojcach
Powrozami wiązane krwawe ludzkie poły:
Kazał Popiel giąć k'ziemi chojarów wierzchoły
I człowiekiem wiązane takie wierzchowiska
Puszczać naraz... A one po nocy ogniska,
Kołem wzgórz rozpalane, gdzie się ludzkie kości
Pękały w piekle... A zaś one okropności,
Dziewki nasze, imane od sług popielowych,
Albo kopytem końskiem na niwach gopłowych
Żyta zdeptane, gdy się kniaź myśliwstwem para...
Oto na truciciela, na zabójcę kara,
A nam pora wytchnienia...
Lecz inny odrzecze:
— Nam co? nie dla cię pany się biją, człowiecze...
Cóż nama w dworze zmiana? Bo gdy człek ubogi,
Zawżdy mu źle. I każdy pan jest chłopu srogi,
I takiem pono prawem świat od wieka chodzi.
Podniósł się na te słowa stary Piast — kołodziej,
Bartnik mądry, prawd bożych przedwiecznych powiadom,
Znający święte słowo, jeże drzewiej dziadom
Ku sprawowaniu świata było objawiono.
Tedy powiadał mówiąc: nie tak-ci to pono,
Insi nam tu z prawieka panowali właści:
To wam powiadam, człowiek kołodziejskiej snaści
I znający po oćcach koła tajemnicę:
Że same wzięte, koły te, wozowe spice,
Trzaszczki są jedno; lecz, gdyś je złożył w gwiaździcę,
W piastę wprawił, a ściągnął obręczą obwodu —
Tedy masz koło: słońca obraz i narodu,
Co być winien jak koło swarogowe — słońce.
A obręcz w niem żelazna — to ludu obrońce,
Koło witeżne; przęseł podstawy są żerce,

Przęsła — to lud, a zasię piasta — koła serce —
To piastun ludu, koniądz władny, pasterz trzody,
Pasiecznik, gromadzący skarby — duszne miody,
Ani mieczem, lecz sercem rządzący narody,
Tak, jako pszczela macierz rządzi swoje barci.
A gdy tak Piast powiadał — na posochach wsparci,
Ogrodową ścieżyną, od pszczelej ulicy
Jako dziady proszalne weszli dwaj pątnicy.
Wzrostem byli ogromni, wyniosłego czoła,
Włos jasno-płowy, równo strzyżony do koła,
Odziani w zgrzebne płótno, w postoły, w siermięgi,
A jasnych źrenic, wielkiej w obliczu potęgi.
Stanęli przed wrotyma, jak dziady — kaleki,
Rzekąc: — Cześć piastunowi gopłowej pasieki,
A pokój niechaj będzie ludowi Kruszwicy...
— Skąd to? — Piast spytał: — Z dali, od jasnej stolicy,
Od wschodu idziem, chodząc od sioła do sioła,
Jako z kwiatka na kwiatek polatuje pszczoła,
Szukająca, gdzie słodkość, gdzie miodowe ziele.
Przystajewa, gdzie jasność, gdzie duszne wesele,
Aż i przywędrowalim k'postrzyżynnej cześci.
Zdziwił się Piast, że mają o strzyżynach wieści,
Chocia nie nascy, chociaż z dalekiego świata,
A oni: — Wie-ć to pszczoła, co nad łąką lata,
Kędy jej miodne ziele naleźć, słodkie kwiecie.
I pytali: A kędyż ono jasne dziecię,
Któremu to wesele sprawia się? By chleba
Wyniosło nam przed chatę, a my łaskę nieba
Kładli na niem, i zasię odchodzili z Bogiem.
Ale już je Piast darem czestuje ubogim,
I prosi, i do stołów poczestnych prowadzi.
Więc siedli, dobrorzecząc kmieciom i czeladzi,
A mówiąc: — Błogosławion, który do biesiady
Prosi nas, kmieć on boży, w którym niemasz zdrady.
A Piast: — Toż wy nie nascy, a jako mnie znacie?
— Znaliśwa cię, odrzekli, gdy w piastowej chacie
Jasność była... a jakoś się na dziecka łoże
Chylił pieczołujący... śniły ci się zorze,
Na niebiedziwo słońce złotem drogę mości...
— Ktoście wy, Piast się zdumiał, co serca skrytości
Znacie przeczuciem? Ktoście wy, wieszczy pątnicy?

— Wzwiesz niezadługo, rzekli, z znamienia gwiaździcy.
A przełomując w dłoniach mały spłacheć chleba,
Źrzenice modlitewnie wznosili do nieba
I na piersiach znak krzyża po trzykroć czynili.
I przejrzał Piast, i pojął, a uznał, kto byli.
— Goście, mówi, panice, święci męże boży,
Serce zamiera we mnie, duch się lękiem trwoży,
Duch mój was w onym znaku krzyżowym poznawa...
Wyście są boże właście, o których mi zjawa
Obwieściła tej nocy w słonecznem zwidzeniu.
Znam was, duchowie święci, w tem krzyża znamieniu.
A toż się serce drżeniem wzruszyło w mem łonie,
Gdym was ujrzał wchodzące... A toć słodsze wonie,
A toć mi się na niebie słońca blask zdał żywszy...
Jedno, żeście tu weszli, jasność zataiwszy,
Jako dziady wędrowne, w nikczemnej odzieży...
Pójdę, o przyściu waszem zwieszczę wieść macierzy,
Z pacholątkiem przed wami każę stanąć żenie...

A właśnie z kwietnej chaty, jak wiosny zjawienie,
Jak dwie wróżki wiosenne, kwiatami przybrane,
Wyszły dziewki — Piastówny. Szaty miały lniane
I włosy rozpuszczone, i na włosach wieńce.
Wyszły z chaty, prowadząc braciszka za ręce:
Dzieciątko, ogorzałe słońcem, jasnowłose
W długiem było giezłeczku, jasnookie, bose
I szło, wdzięczne niewinną krasą kwiatów polnych,
Na czole mając wieniec lanuszek padolnych
I zatrwogane oczy zwracając k'macierzy.
Rzepicha, w czarnym płacie, w żałobnej odzieży —
Że to synaczka dzisiaj odbierać jej miano,
Przed panem stawiąc: — jako było powiedziano:
Że wszelki, poczęt w grzechu, w boleściach zrodzony
Syn — jak niewinne jagnię winien być strzyżony,
I klęt za ojców winy, i przed Bogiem stawion,
By tym jagnięcym darem ród był błogosławion —
Rzepicha tedy, w czerni, w żałobnej podwice
Siadła przed progiem chaty, piastową gwiaździcę
I namiot z drzew kwitnących mając ponad sobą.
Dziecię na łonie matki, przybranem żałobą,
Jako miesiąc śród nocnych niebiosów jaśniało.

Pozad stanęły dziewki. Jedna chustę białą
Trzymała, na otarcie poświęconej wody;
Druga — czarkę z bursztynu, przejrzystą, jak miody
W dłoniach dzierżyła, — w której miały być zżegane
Złotych włosiąt użątki — runo nieskalane.
Podal stał Piast — i żerca z sierpem złotym w dłoni.
Było południe — wielka cichość — i z jabłoni
Padały, szemrząc, suchych szeszelinek deszcze:
I przystąpiły k'dziecku dwa pielgrzymy wieszcze.
I rzekli mówiąc: — Oto duch słowiańskiej ziemi,
Płowowłosa dziecina z oczyma jasnemi,
Co żywie, jak te kwiaty, jak ptakowie leśni,
Ani świadome wdzięku swej nieucznej pieśni,
Drżącej miłosną ziemi do słońca tęsknotą.
Oto jagnię bez zmazy, co swe żywe złoto,
Swój włos — na całopalne oddaje pożarcie.
Patrzcie, ojczyste oto nasłały mu barcie
Złotych pszczół, co mu czoło miodnem kołem wieńczą.
Motyli się rój nad nim żywą snuje tęczą
I kwiat polny, jasnością dzieciątka zwabiony,
Głowę ku niemu zwraca, bijąc mu pokłony.
— Jaśniaczku ty promienny, w pszczelim wieńcu dziecię,
Postrzygalny baranku biały, Z i e m o w i c i e,
Kwiatku jasny, co z z i e m i, jako w i d wybucha,
Ja cię chrzczę — w Imię Ojca i Syna i Ducha.
I była wielka cichość, gdy wody święcone
Na czoło się dzieciątka, kwiatami zwieńczone,
Jak majowa ulewa, rzęsiście polały,
Łzami po wieńcu ciekąc. Zaczem żerca biały
Żął złotym sierpem złote dzieciąteczka włosy
I w bożej żertwie zżegał one żywe kłosy.
A gdy ogień czyszczący żarł to złote żniwo —
Nad czołem dziecka — naraz — światłością się żywą
Krąg słoneczny zapalać jął — takiej potęgi,
Że się odeń rozlśniły pola, wody, łęgi,
Że każdy kwiat, źdźbło każde na piastowym dworze
Stało się przemienione, i odziane w zorze,
Jakby je złote serce świętej matki-ziemi
Poiło krwi słonecznej zdrojami złotemi,
Przemieniając je w gwiazdy, we słońca, w księżyce,
W czary cudne, w wonności pełne kadzielnice.

A nawet ono koło, co u szczytu chyży
Lśniło kwiatów ozdobą, złożone z trzech krzyży,
Teraz, promieńmi jasne, stanęło, jak słońce,
Z piastowej chaty polskim krainom wschodzące.
I zdało się, w to złote wiosny przypołudnie,
Że sto słońc, sto gwiazd naraz płonęło przecudnie.
I zdało się, że w blasków ogromnych powodzi
Światłość świata, słoneczny ziemi syn się rodzi.
A jak, gdy w noc kupalną, na leśnej polanie,
Żywy słup ognia w niebo buchnie niespodzianie
I zbudzi śpiące gniazda, że z skrzydeł łopotem
Ocknione ptactwo wzleci, i wdzięcznym świegotem
Zaświerka, sądząc, że już świt — i pieśń stugłosa
Z gęstwy leśnej wrzawliwie uderzy w niebiosa —
Tak lud, olśniony ową światłością straszliwą,
Zagrzmiał gwarem stugłosym: — Cudo! Dziwo! Dziwo!
Ziemia jaśnią jutrznianą promieniście gorze!
A pątnik mówił: „Bracia, patrzcie, oto zorze!
Bracia, świt się wiośniany podnosi nad światy!
Patrzcie, złocą się łęgi, jasne źrzeją światy
I ziemia ziarnem cudu stała się brzemienna...
Narodu oto gwiazda przewodnia, jutrzenna
Ponad kruszwicką chatą Polskiej ziemi wschodzi,
Nad wiotchą, sielską chatą, kędy Piast-kołodziej,
Koła świętość znający, i gwiazd wrotne chody
I baśni pszczele — sprawił postrzyżynne gody
I zastawił ludowi miód i dary śniedne;
Gdzie dzieciąteczko, wiedzą niewinności wiedne,
Święty dar — złote runo swe — na postrzyżyny
Oddawa, jak baranek — za niewłasne winy.
Ojcze niebieski, Panie, błogosław to dziecię,
Pierwiosnek wiary świętej: jako jasne kwiecie —
— Ziemi duch złoty — wita we wiosny świtanie,
Tak on wykwitł wiosennie w słoneczne zaranie,
Niby podziemne słońce, z łęgów przygopłowych.
Duch jemu boży świta na włosiętach płowych,
Że się one, jasnością otoczone skronie
Podobne zdają złotej kwiatowej koronie,
Światłością swą motylom i pszczołom przyjemne.
On był s i e m i ę, lecz skryte w łonie ziemi, ciemne:
I padły rosy — zlały się nań wody chrzestne,

I wzeszedł z łona ziemi, jako kwiat na wiesnę,
Zawitał z ziemi kwiatem — święty Ziemi Wit...
Bracia — oto się nad nim złoty podniósł świt,
Przyszłości nad nim zorza i jasność jutrzniana! —
I będzie uwielbiona białość nieskalana
Dzieciątka, które odział Bóg w świętości zorze...
Bowiem, rzeczono: Takich jest królestwo boże. —
Skończył pielgrzym. Zdało się, że słowom wieszczebnym
Duchy w górze wtórują śpiewaniem gędziebnem,
Bowiem od łąk — dalekie jakby gęśli dźwięki,
Ligawek śpiew i głosy pastuszej piosenki
Tęskliwie zaleciały w Piastowe ogrody,
I w kurzawy obłoku białorunne trzody
Weszły tłumnie. I jęli powiadać owczarze,
Że z pastwisk szli — gdy oto nad wsią się ukaże
Jasność taka, że owce, w one złote zarze,
W one idąc świtania — jakby zachwycone, —
Przez pola zieleniące, łąki rozkwiecone
Zawiedły ich do chaty z gwiazdzicą u czoła.
I klękali przed dzieckiem, jasnością je sioła
Nazywali, kwiatuszkiem, zrzejącym w pozorze,
I dary mu obogie składali w pokorze,
I wielbili niewinność onę barankową.
A już brzeszczotów brzękiem i wrzawą bojową
Grzmi dziedziniec — i w zbrojach, z dzidami, w żelazie
Wchodzą własty, supany, skrzydlate witezie,
Tętnią kopyta, jeży się włóczniami jazda. —
I mówią woje: — Złota nas tu wiodła gwiazda.
Gdzież jest, który się zorzą objawił, Pan Słowa?
Bowiem dziś rano, gdy moc padła popielowa, —
My, pod miastem zebrani, w książęcia wyborze
Nie mogąc przyjść do zgody — już na sądy boże
Udający się, mieczmi na się rozsrożeni:
Jasnością naraz wielką byliśmy olśnieni,
Która jęła nad miastem wschodzić w takiej chwale,
Że od niej gród, i tyniec, i Gopłowe dale
Spłonęły zorzą. A nam do duszy rozjadłej
Jakby rosy słodkością kojącą upadły;
Że poniechawszy broni, i z cichością w duszy
Za gwiazdą, i za śpiewem gęśliczki pastuszej
W one idąc jasnoście — do tej tu zagrody

Zaszli my, gdzie na kwiatach białe drzemią trzody,
Gdzie pod kwietnym namiotem przejasne pacholę
Trzodkom onym króluje, włast z słońcem na czole.
Długo-ć noc trwała: katów miecze, męczeństw jęki,
Twarzc, w ciemnościach krwawsze, niż wilcze paszczęki, — —
Czarna noc była, długie bratobójcze boje — —
Straszno wspomnieć... A tutaj — jasność, pszczele roje
Słońcem odziana chata, skąd lud bierze miody —
I ta biała dziecina, niebiańskiej urody,
Strojna ziół jeno polnych sielskimi przepychy.
Kmiotku ty płowy, twego giezłeczka part lichy
Złoci się w słońcu — bardziej książęcego złota;
Ten kwietny wieniec, wdzięcznych sielanek robota,
Zali nad świetne królów wieńce nie zdobniejszy?
A jaki bardziej wonny, który jest cudniejszy
Namiot, niźli ta gęstwa kwitnących jabłoni?
I w blaskach zorzy, w okół twoich jasnych skroni
Pszczeli rój, co się snuje w pozłocie i brzęku,
I twe siostry-dworkinie, wiośnianego wdzięku
Druhny — zaprawdę, mówię, żaden-ci pan ziemi
W złote odzian przepychy, nie był tak świetnemi
Krasy przybran, ni w takie światłości upowit,
Jak ten kmieć lichy, łęgów kruszwickich ziemowit.
— Ziemowicie, sama-ż cię ojczysta ziemica
Na króla przyodziała, i złota gwiaździca
Cudem cię naznaczyła na pana i własta.
Żyj nam, ty chłopski królu, kmieciu, synu Piasta,
A witaj-że, nam witaj, miły hospodynie! —
I kłaniali się, do nóg upadłszy dziecinie.
A zarazem lud wszystek upadł na kolana
I była uwielbiona owa nieskalana
Kwiatuszkowa niewinność, i tajemnic ziemi
Święta wiedza, co niegdyś, ściegi słonecznemi
Z rajskiej przyszła ojczyzny, i u wód gopłowych
Siadła, zaklęta w dusze Słowa synów płowych
I spowiadała ziemi słoneczne tęsknoty,
W mądrość się pszczół wżywała, i w ptaków poloty
I w białych trzód rozmowy, i w iście obłoków
I w drzew zgrzybiałą mądrość i w pędy potoków. —
Onej-to ziemowiednej, rajskiej tajemnicy
Myśl — jęli opowiadać rozsłańcy — pątnicy.

I rzekli: — Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Oto dusze pobożne podnosząc do Ciebie,
One się słowiańskie ludy dziś pokuszą
Królestwo twe na ziemi ziścić. Przed ich duszą
Mglane stają tęsknoty i cudne widzenia
O królu, co ma włosy z blasku i z promienia
I zorzy krąg nad czołem... I święta ojczyzna
Śni się im, miodem sytna i pszenicą żyzna,
Zaciszna, jak ta chata, co w ogrodach tonie,
A ma, jak anioł, gwiazdą promieniste skronie
I jest skrzydlata skrzydłem kwitnących gałęzi,
I szatę ma, tęczami zdobną, z kwietnych więzi,
A od Boga odziana jest w blaski i chwałę,
Nad którą drzewo stare, trójtrzosłe, zgrzybiałe,
Opiekuńcze ramiona rozpościera płodne.
Pod niem, na kwiatach, trzody się pasą łagodne
I rój brzęczy słoneczny, szukający miodu.
Tęsknota rzewna, cudne widzenie — Narodu,
Co jest jak trzoda owcza i jak roje pszczele...
I pasterz on... ogrodnik on dobry... swe ziele
Znający miodne... mądry Piast, pasiecznik-wiastun,
Ku któremu się garną one roje — Piastun, —
Co jest jak piasta w kole, jako serce słońca...
Naród, jako ta gwiazda, nad chatą jarząca,
Jak to koło piastowe — jak słońce z trzech krzyży...
I wyjdą z tego ludu krzyża bohatyrzy,
Panieńskich serc i w czarnej zbroi wielkie męże —
Jak archanioły, jasne dzierżący oręże. —
I inni, w szat żałobie, a miodowej wargi
I zatroskane, sercem, pełnem rzewnej skargi
O ojczyźnie... o ludu rozpłakani doli,
Męże serdeczne, z tego wyrosłe, co boli...
I inni, ach! roztrwońcy ojcowej puścizny — —
I na trzech krzyżach ciało rozbite ojczyzny,
Pokolenia w popiele, żalem rozpłakane, —
Jak trzody rozproszone, owce obłąkane,
Pasące się śród mogił — nocą — bez pasterzy...
By one dziatki, u zwłok płaczące macierzy...
Pokolenia w szat czerni, we łzach i w żałobie,
Oczekujące — nocą — przy ojczyzny grobie
Świtu i zmartwychwstania promiennego cudu...

I w sierocych się sercach zbłąkanego ludu
Na wieki... ona rzewna tęsknota ostanie
O królu, co zawitał był w wiosny zaranie;
O Piaście-Ziemowicie, który w grubym parcie,
Wracając od swej trzody — od sochy — od barcie —
Gdy wieczór złocił światy — w cieniu swej jabłoni
Siadał, by ludu waśnie sądził... A u skroni
Pszczeli mu rój polatał, brzęczący i złoty...
O królu wielkiej ciszy i wielkiej prostoty,
Co żył w pokorze — synów słowa Piast serdeczny,
Słońcem sławny — i sławy światłością słoneczny,
Król kmiecy — syn wieśniaczy Piasta i Rzepichy —
Sielski święty słowiański — łagodny i cichy — — —

WACŁAW TEOFIL HUSARSKI



BENARES. KOPUŁY „ZŁOTEJ ŚWIĄTYNI“.

PAŁACE I ŚWIĄTYNIE W INDYACH.

Wschód to kraj baśni i pieśni, ojczyzna legend fantastycznych, któremi kobiety z haremu lubią jeszcze do dziś dnia zabawiać się w długie godziny bezczynności i nudy. Na wschodzie to powstały opowieści o bajecznych pałacach z kryształów i mgieł, o komnatach z pereł i brylantów, w których ukrywają się złotowłose królewne tajemnicze i ponętne. Podania te ukołysały od wieków pokolenia całe — wzrosły z niemi od kolebki całe narody; legendy i baśnie fantastyczne i pełne czaru są podstawą religii ich i wierzeń. Hindusi, Persowie, Arabi stworzyli cały świat odrębny wróżek, bogów i bogiń. W wierzeniach tych wyrośli ich możnowładcy, ludzie posiadający największe bogactwa na ziemi, przywykli zadowalniać swe fantazje i dziwne tylko pomysły, przywykli do tego, że słucha ich ślepo tłum niewolników, powolny na każde ich skinienie. Mając więc wyobraźnię wybujałą od dzieciństwa, wzrastając nie w życiu trosk i nauk realnych, ale w krainie baśni i legend fantastycznych, wyrobili sobie bajeczną fantazję, którą pragnęli do życia powołać, dając jej formy skończone, a zbliżone do pojęć o świecie jakimś nierealnym, kraju wróżek i czarodziejów.

Zapragnęli być królami z baśni i legend, mieszkającymi w pałacach utkanych z rosy i brylantów, a mając niezliczone skarby i najpiękniejsze klejnoty na świecie, stawiali dla siebie bajeczne przybytki równające się przepychem pałacom legendarnych władców — i najpiękniejsze kobiety swego państwa umieszczali w kryształowych haremach, oddzielając je od świata zasłonami z przezroczystych marmurów, które zręczna dłoń rzeźbiarza przekształcała w hafty i koronki, tkane w desenie z pereł i rubinów.



BENARES GROBOWIEC FAKIRA SARASFATI

Gdy w pałace te wkroczy dziś daleki przechodzień z zimowych krajów północy otwiera się nagle przed nim świat inny, fantastyczny i czarujący. Odżywają przed nim wszystkie opowieści zasłyszane niegdyś z Tysiąca i jednej nocy. — Zdaje mu się, że wziąwszy lampę Alladyna, kroczy po bajecznych komnatach, które jak sen powstały i jak sen się rozpłyną. Takiemi są pałace Wielkich Mogołów w Agra, Delhi i Amber, takiemi są świątynie postawione dziwnym, fantastycznym bóstwom w Ahmedabad, Abu Road, lub Benares, świat dziwów i czarów unoszący fantazję ponad świat zmysłowy — w krainę legend i baśni.

Jednym najpiękniejszych przybytków postawionym na cześć bogów jest świątynia Dilvarra w Abu Road, powstała w XI. stuleciu. Stoi samotna w pośrodku dzikiej dżungli, na wyniosłym szczycie góry pasma Avarelli, ukryta

zazdrośnie między dzikimi lasami. Cała z białego marmuru, spoczywa na lekkich słupach, delikatnie rzeźbionych, z sufitu zwieszają się stalaktyty, jak pajęcze koronki. Wkoło pną się girlandy z marmurowych kwiatów i hafty przedziwne, a tak przeźrocze, że widać przez nie lazur nieba, blask słońca i cień przechodzącego człowieka. Wchodzi się doń milcząc, aby nie zmącić ciszy, która tu od wieków drzemie, pomiędzy temi delikatnemi odrzwiami, pomiędzy gzemsami, które jakaś dłoń misterna wykuła w marmurze, i uczyniła każdy szczegół inny, wyobrażający to ludzi, to walkę słoni, to ptaki, lub kwiaty. Na środku świątyni jest miejsce, które jedynie wierni przekroczyć mogą, gdzie na skurczonych nogach siedzi bóg Parasvanatha, czyli wcielony Budda. Siedzi tu nagi, potworny, oczyma szklanemi patrzy przed siebie, a pobożny kapłan należący do sekty Dżainów, myje ciało jego, smaruje oliwą, następnie maluje mu czoło i piersi żółtą farbą — i sam sobie również robi podobne znaki na znak oddania się bóstwu.



ŚWIĄTYNIA DILWARRA.

Możnowładcy indyjscy lubią stawiać pałace swe w oddaleniu od tłumów, na wyniosłych pagórkach, skąd wzrok błąka się niczem nie wstrzymany w niezmierzone dżungle, w dalekie obszary. — Takim oddalonym, ukrytym wśród skał i gór jest pałac w Amber, dziś już nie zamieszkały, bo przesądny król Jai Sing II., usłuchawszy rozkazu wróżbitów opuścił go w r. 1728 i przeniósł się do Jaypor, gdzie nowe wybudował pałace. Zbudowany w maurytańskim stylu, cały z marmuru i z mozaik, wznosi się jak kosztowny brylant wśród szarej pustyni. Tam to brzmiało życie wschodnich możnowładców, wśród igrzysk, zabaw i rycerskich turniejów upływały im dnie bez troski. Piękne odaliski w marmurowych „zenanach“ umilały dnie królom i rycerzom, bayaderki cudnej urody pląsały wśród fontan i na posadzkach z mozaik i drogich kamieni, a królewne otulone w bogate wschodnie materje, rzucały z okien o marmurowych zasłonach kwiaty i klejnoty bezcenne do stóp śmiałych rycerzy i zwycięzców.



JAYPOR. BRAMA MIASTA.

Któż zdoła opisać przepych tych sal opuszczonych dziś i pustych, tych komnat lśniących od drobnych deseni z lapisu i barwnych marmurów, tych kiosków, łazienek, audyencjonalnych sal, w najczystszym maurytańskim stylu. Zaraz u wejścia do pałacu jest mała świątynia poświęcona bogini Kalli. Siedzi w niszy skurczone bóstwo, a bramini codzień składają jej ofiary. Oto płynie strumieniem u progu krew zamordowanego koźlęcia, a głowę jego i puhar krwią napełniony, podają kapłani ohydnemu bóstwu, aby się widokiem tym nasyciło.

Błąkamy się po salach i terasach i misternie rzeźbionych balustradach. Ściany sal są przeźroczyste, układane w desenie z drogich kamieni i zwierciadełek, tak, iż każdy deseń po tysiąckroć się odbija. Błyszczą tu lilie z białego marmuru z lazulitów i jaspinów. W zakratowanej „Zenanie“ trzymał ostatni władca mahometański 928 kobict, będących jego niepodzielną własnością i dla nich to stroił komnaty w kamienie

drogie i łazienki wykładał w lustrzane desenie. Równie piękny i pełen przepychu jest pałac w Agra zbudowany w r. 1568 przez Akbara, wielkiego cesarza Indii. Otoczony jest murem 21 m. wysokim, a prowadzą doń liczne bramy imponującej wielkości. Pałac ten jest całym światem zamkniętym dla siebie, pełen przeróżnych budowli, dziedzińców, ogrodów, meczetów, bazarów, hal otwartych stojących na kolumnach. Są tam sadzawki otoczone marmurowemi balustradami, z których piękne królewne łowiły ryby złotemi wędkami, skracając chwile nudy i bezczynności.

Dziedziniec jeden układany jest w kształcie szachownicy, a na niej to królowie, wyrafinowani w zabawach jak rzymscy cezarowie, grywali w szachy żywemi pionkami, to znaczy kobietami w licznym swym haremie.



AGRA. ZŁOTY PAWILON.

Wśród tego wyuzdania cesarskich dworów, tem dziwniejsze jest przywiązanie monarchy wschodniego do jednej tylko kobiety. Wspomnienie więc tej wielkiej miłości przetrwało wieki, tem bardziej, że pozostał po niej pomnik długowieczny i piękny. Mówię tu o miłości szacha Jehana do żony swej Muntaz-i-Mahal. Imię owej wybranej oznacza „Dumę pałacu“, a musiała ona zaiste być dumą całych Indii, skoro do dziś dnia przechowała się pamięć jej niezwykłej piękności i uroku. Dla niej władca ów o duszy artysty, a bajecznych skarbach wschodniego Krezusa, wystawiał wciąż nowe pałace, w których komnaty przepychem prześcigały wszelkie najśmielsze pomysły.

Błąkamy się dziś po cichych i samotnych krużgankach patrząc przez okna koronkowe, wycięte w białym marmurze, na śpiącą u stóp pałacu rzekę Dżumnę i szarą dżunglę dokoła. Jak głucho odbija się odgłos kroków wśród tych sal opuszczonych, gdzie słońce łamie się w blaskach tęczy na drogich kamieniach, zdobiących białe kolumny. Przepyszną wprost jest Zenana, czyli pałac królowej. Ile tam fontan, łazienek, ile przepychu, mozaik, marmurów: Cały bajeczny arabski świat, wywołany jak z krainy czarów i baśni. Osobną też miały świątynię piękne królewne i księżniczki „Naginach Moszid“, czyli „klejnot świątyni“. Wśród krzewów i wonnych kwiatów jest hala o nieskończenie delikatnych i koronkowych rzeźbach, tak przeźroczysta i jasna, że wydaje się utkana z jedwabnych koronek. Obok znajduje się pałac zwierciadlany, gdzie ściany pokrywają drobne desenie z luster i gdzie niegdyś spływały sztuczne kaskady, utrzymując chłód w upalne dnie podzwrotnikowe.

Najwspanialszym jednak jest „złoty pawilon“ i „wieża jaśminu“, które były rezerwowane dla pierwszej żony Sułtana. Są tam w murze drobne wyżłobienia, służące za schowki na kosz-

towności królowej, a tak wąskie, że tylko drobna dłoń kobieca zmieścić się w nie mogła. Dach pawilonu jest złocony, a balustrady wyrzeźbiane w najmisterniejsze desenie.

Z pałacu królowej dochodzi się po schodach do „Divan-I-Khas“, czyli audyencjonalnej sali szacha, gdzie kwiaty i owoce wyrzeźbiane w marmurze wiją się delikatnym deseniem, aż po białe stropy. Dochodzi wreszcie zbłąkany wędrowiec do największego skarbu tego królewskiego pałacu — do perły wszystkich meczetów „Moti-Mosjid“, nazwanego „najmilszym domem modlitwy na świecie“. Zbudowany w najczystszym maurytańskim stylu, zdobny jest w niezliczone minarety i pawilony, spoczywające na lekkich słupach. Posadzka układana jest w sześćset kwadratów tak, aby każdy wierny klęczeć mógł na wyznaczonem miejscu, twarzą zwrócony do Wschodu. Jedna część świątyni jest przeznaczona dla kobiet i oddzielona delikatną zasłoną, wyrzeźbioną w marmurze. Całość tworzy wrażenie wielkiej harmonii, lekkości i piękna.



MOTI-MOSJID.

Smutny był koniec miłości króla Jehana do pięknej swej małżonki. — Umarła ona w kwiecie wieku, napełniając króla nieutulonym żalem. Wtenczas w duszy jego powstał zamiar genialny wystawienia jej pomnika, który przepychem i pięknem przewyższy wszystkie grobowce na świecie. Przez 22 lat 20.000 robotników pracowało bez przerwy, rzeźbiąc marmury w delikatne desenie i kwiaty, układając pracowicie misterne mozaiki na kolumnach i ścianach.

I tak p wstał słynny grobowiec „Tadż Mahal“, jeden z cudów świata, opiewany przez poetów, podziwiany przez artystów.

Prowadzi doń brama o 26 marmurowych kopułach, przedziwnie wyrzeźbiana. Stanąwszy w bramie ukazuje się nagle na tle nieba widzenie czarowne, istny sen z białego marmuru. Wydaje się z oddalenia świątynia ta, niby lodowcem, lśniącym od blasku słonecznych promieni, białą jak śniegi himalajskich szczytów, zaprawdę, najpiękniejsze dzieło ludzkie na ziemi.

Dwie ścieżki proste prowadzą doń, wykładane płytami białego marmuru, pomiędzy niemi jest basen, w którym białe lilie rozkładają wachlarze swych liści. Po bokach są aleje zielonych cyprysów, dalej park bujny, pełen zieleni i chłodu. Na końcu więc prostej linii basenu i marmurowych ścieżek, wznosi się wysoka terasa, do której prowadzą ukryte boczne schody. Terasa ta mająca 100 m. długości, zakończona jest po czterech rogach strzelistymi minaretami, w samym zaś środku jest właściwy grobowiec. Linie jego proste, czyste, pełne harmonii i spokoju. Wokoło ścian wiją się lilie białe, wyrzeźbione w marmurze, dalej



AGRA. GROBOWIEC TADŻ-MAHAL.



AGRA. MAUZOLEUM.

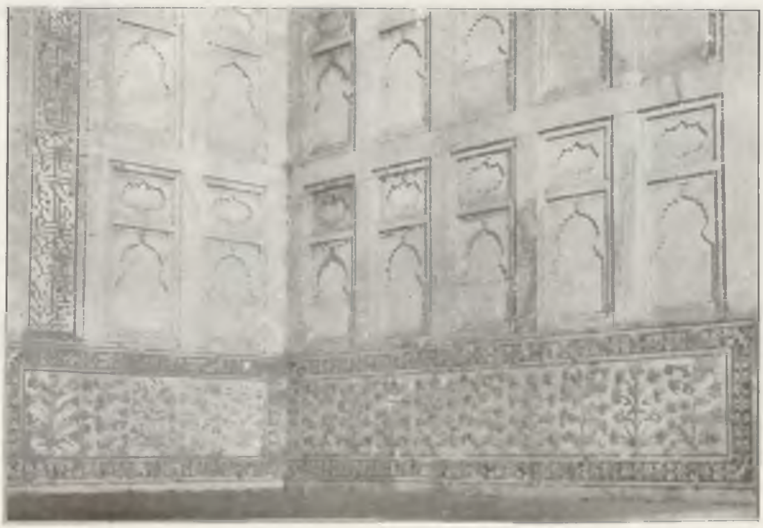
arabeski idą w górę, układane z drogocennych kamieni.

Wewnątrz świątynia ta jest równie piękna, a choć powinien w niej półcień panować, taki jest blask niezwykły białych marmurów, iż zdaje się przeźroczyste być musi całe sklepienie przedziwnej kopuły. Znów wieńce białych lilii, kwiaty z turkusów i topazów, delikatne a misterne, wiją się w przedziwnych deseniach, aż ku górze, ku białym stropom.



ACRA, ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE.

W samym środku zaś znajduje się istny cud wykuty w marmurze: balustrada przedziwnej roboty, poza którą jest grobowiec „Muntaż-Mahal“ i drugi obok nieszczęśliwego króla-poety. Kroczyć tu trzeba cicho i ostrożnie, bo dźwięk każdy odbija się tysiąckrotnem echem, a imię Ałłah, wymówione półgłosem, brzmi niby chór niewidzialny, gdzieś pod białym sklepieniem, drży długo w powietrzu i rozchodzi się powoli, cichszy — dalszy — jak śpiew odlatujących aniołów. Gdy wieczorem słońce zatapia się w rzece, blask jego ostatni pada niby łuna na tę białą świątynię. Różowieje się wtedy i mieni, a kosztowne kamienie lśnią się jak gwiazdy, które w noc cichą padają z nieba na ziemię.



WNĘTRZE ŚWIĄTYNI TADŻ-MAHAL.

Lecz jakież słowo ludzkie odda czar Tadż Mahalu przy promieniach księżyca?

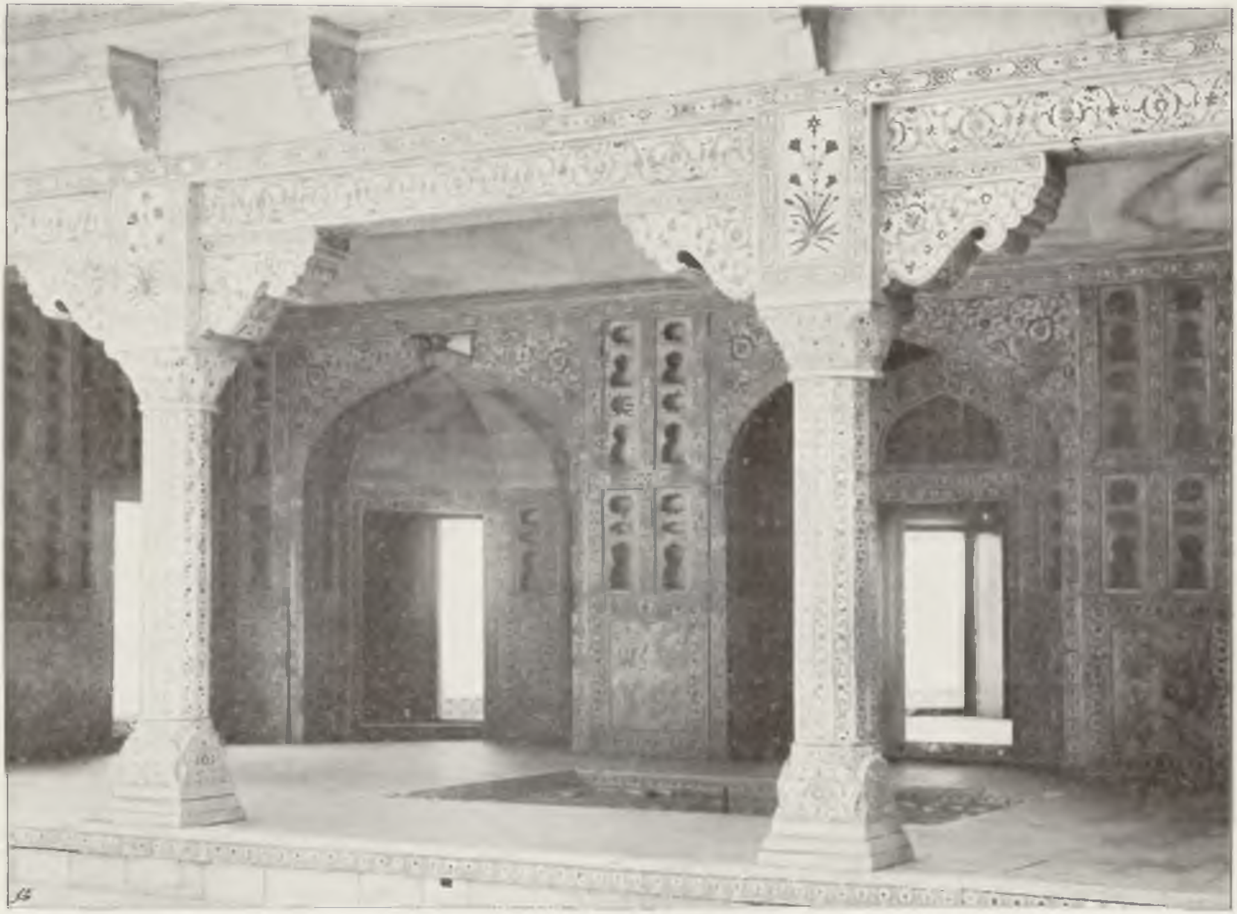
Oto przychodzimy do niej, pielgrzymi spragnieni nowych, czarownych wrażeń, gdy ziemia już oddawna usnęła, a wielki i blady księżyc wstaje z oparów rzeki.

Jak lampa alabastrowa ukazuje się świątynia przed nami, podnosi się z ziemi jak postawiona ręką bogów.

Odcina się równa, obramowana dwoma minaretami, biała jak śnieżny obłok na tle czarnej nocy, błyszcząc drogimi kamieniami, jak kroplami rosy.

I w tem niezwykłem otoczeniu, w tym kraju poezyi i piękna wydaje się jak symbol wielkiej miłości indyjskiego władcy wcielonej w marmur biały, niby pomnik wiecznie trwającej tęsknoty.

EWA DZIEDUSZYCKA.



DELHI. SALA PAŁACU.

OGRODNICTWO JAKO SZTUKA.

C. D.

Walka, jaką wypowiedziało chrześcijaństwo wieków średnich rzymskiemu przepychowi zaciążyło także nad dziedziną sztuki. Myśl skierowana tylko i jedynie do spraw kultu zacieśniła ramy twórczości. Pokora nakazywała nie błyszczeć, nie chełpić się dokonanem dziełem, ani też nie okazywać na zewnątrz dostatku. Walki zarówno religijne jak i wydzieranie sobie władzy, przy fanatyzmie dokonały reszty, zwracając sztukę na inne tory, zrywając z pogańską tradycją, a tworząc zupełnie na odmiennych podstawach.

Nic przeto dziwnego, że sztuka ogrodnicza, tak wysoko niegdyś u rzymian stojąca, w wiekach średnich zmalała, skurczyła się, tak jak i same ogrody. — Kościół chrześcijański tej sztuki nie potrzebował. Polny kwiat zdobił ołtarze, a drzewa służyły tylko jako tło dla chramów Bożych. Wysoki mur klasztorny otoczył część lasu, w którym była pustelnia, a przed domkami eremitów było parę grządek warzyw, trochę ziół lekarskich i kwiecia, z jednem lub dwoma drzewkami owocowemi, tworzyło to wszystko przemiłe wiridaże, skromna to jednak była sztuka. Narażone na ciągłe napady miasta nie mogły pomieścić większych ogrodów, gdyż były zamknięte obronnemi murami. Gdy mieszczanin chciał zaznać roskoszy natury, odetchnąć powietrzem, wychodził za obręb miasta, które jako twierdza nie zajmowało wielkich przestrzeni, tam za fosą obronną miał błonia rozległe, pola uprawne sąsiednich wiosek, co jak wianek otaczały opiekuńcze warownie, za niemi knieje i puszcze. Wielkie tylko zamczyska możnych panów mieściły jako zbytek, niewielką kwietną łączkę, w pośrodku studzienkę lub fontannę, zabytek z czasów rzymskich lub naśladownictwo Wschodu, parę drzew, ławkę, a przy niej pergolę, cudzoziemskie ptaki w klatce, ot i wszystko. Taki ogród na owe czasy zwano R a j e m z i e m s k i c h r o z k o s z y. Dowód niezbity, do jak erudymentalnych rozmiarów zeszły ogrody Pliniuszów. Zaranie odrodzenia nie było właściwem podłożem do rozwoju zdobnego ogrodnictwa. Gdy kraje całe gorzały w zaciętych bojach, kto mógł myśleć o ogrodach?

I tak we Włoszech ani walczący o stolec papieski kardynałowie, ani powstające rody, ani kondotierzy, ani też trwożny zazwyczaj kupiec cudzoziemiec, nie mogli dostatecznie myśleć o zdobieniu swych siedzib, gdy walka ich zagrzewała. Włochy całe rozbite na państewka były jeszcze zbyt ubogie, aby pozwalano sobie na zbytek, jakim jest ogród ozdobny. Z rozkwitem humanizmu, gdy kondotier stawał się założycielem rodu lub płatnym żołdakiem, a w potęgę rośli „patrone" domów bankowych; w czasach, gdy giganci sztuki toczyli bój o lepsze, już nie mieczem, ale siłą mózgu, gdy zdobytych bogactw poczęto używać, nastała pora wyzwolenia sztuk pięknych opartych na kanonach klasycznego antyku (lub jego przesytu), wtedy zaczyna się kształtować ogród.

Dom-pałac i fontanna to d w a ogniska, około których rozbudowywano ogród, tnąc go drogami w szachownicę. Charakter jego musiał być ściśle architektoniczny. Nic dziwnego, że ówczesnymi twórcami ogrodów nie był kto inny tylko wielcy architekci i artyści: Leonardo da Vinci, Palladio, Peruzzi, Bramante, Michał Anioł, Rafael i wielu innych z całą plejadą swych uczniów. Reprezentanci wielkich rodów jak Colonna, Orsini, Borgia, Medici, Cybó, Rovere, Gonzaga, Sforza d'Este, panowie na Urbino, Syennie i Florencja, papieże i ich nepoci, wielcy „patrone" banków,

jak: Chigi zlecali artystom budowę pałaców. Budowle wymagały stosownych ram, nic przeto dziwnego, że artysta odrodzenia, który się nie lękał żadnego materjału, będąc równocześnie rzeźbiarzem, malarzem, rytownikiem, kostyumerem, architektą i t. d., kreślił śmiało plan ogrodu, mając opisy, lub pozostałości rzymskich ogrodów. Ztąd powstały te wspaniałe ogrody przy willach: Farnese, Aldobrandini, Medici, Pamfili, których wzory pod nazwą włoskich ogrodów szybko się rozeszły po Europie.

Tak tworzyły się wielkiemi liniami Włochy odrodzenia. Całe ówczesne życie przesiąknięte było wzorami ze starożytności, nic przeto dziwnego, że liczne wspomnienia, opisy ogrodów wszechwładnego Rzymu wyczytane z ksiąg łacińskich, a także szczątki po tych cudach świata, które jeszcze można było oglądać, wywarły niezatarte piętno na tamtoczesną budowę ogrodu. Wzory, kanony były gotowe, choćby z Tusculum Pliniusza. Ogród był integralną częścią pałacu, a ponieważ zawsze pałac stał na wzgórzu, więc ogrody musiały powstawać w swych częściach jako terasy. Rozkwit odrodzenia stwarzał tak wiele i na tak wielkie rozmiary obliczone dzieła sztuki, że wiele z nich założonych było tylko szkicowo, a do następnej epoki należało te dzieła wykończyć.

Na miejsce północnych Włoch, to jest Florencyi wystąpiły Włochy południowe z Neapolem. Michała Anioła zastąpił Bermini. On to w szale komponowania studni, wodotrysków i kaskad dał pohop do przesady w urządzaniu ogrodów, gdzie została tylko studnia i kamienne ozdoby a szachownice ogrodowe pocięto w coraz więcej skomplikowane wzory. Przesada, nadużywanie skał dało miano ówczesnej epoce barokiem zwanej. Nie sądzonem było Włochom, aby wypowiedziały ostatnie słowo w rozwoju ogrodów. Stało się to gdzieindziej, a mianowicie we Francyi.

* * *

Król-Słońca chciał przed letnią rezydencyą roztoczyć nieskończenie wielki salon, aby w nim jego liczny dwór, ambasadorowie państw Europy i ich świty mogli swobodnie bawić się i gościć. Zadanie było niezmiernie trudne, znalazł się jednak geniusz, który tego dokonał. Był nim André Le Nôtre twórca Wersalskich ogrodów.

Oto krótki życiorys tego wielkiego artysty w swoim rodzaju.

Dziadek jego był ogrodnikiem Maryi Medici, a ojciec intendantem ogrodów i pałaców w Tuilerie. André Le Nôtre urodził się w Paryżu dnia 12 marca 1613 roku, a umarł 1700 roku jako 87-letni starzec. W młodości poświęcał się malarstwu; zastajemy go w pracowni malarza i architekty Simon Vouet'a, twórcy najlepszych „vedut". Tutaj już rysował plany ogrodów, a jeden z mecenasów sztuki wysłał go na studya do Włoch. W Rzymie dostał się André na dwór z kardynała Ludovico Ludovisi, który polecił wybudować pałac według planów Domenichinos'a gdzie dawniej były ogrody Salust'a w północnej części Rzymu. Le Nôtre mimo, że prace niwelacyjne do typowego renesansowego ogrodu były rozpoczęte, zabrał się z młodzieńczą werwą artysty, narzucił plan, który się kardynałowi podobał i był wykonany. Szkoda wielka, że to pierwsze dzieło Le Nôtra zostało zniszczone przy powiększaniu Rzymu.

Przez Alpy imię Le Nôtra stało się głośnem w jego ojczyźnie i minister finansów Fouquet poleca młodemu artyście w swych posiadłościach w Vaux założyć ogród, tutaj poznaje go Ludwik XIV.

Pałac w Wersalu musiał jako królewska rezydencya mieć odpowiednie otoczenie i Le Nôtre otrzymał to zlecenie. Ogród wersalski stał się epokowem dziełem i zwrotnym punktem dla sztuki ogrodniczej.

Teren na którym powstały ogrody Wersalu



ANDRÉ LE NÔTRE



ŁUK TRYUMFALNY W WERSALU.



ALEJA KASZTANOWA W WERSALU.



BASEN NEPTUNA W WERSALU.

według Lucien Corpechot[1]) przedstawiał chaos: wzgórza a między niemi trzęsawiska.

Aby istne małe państewko doprowadzić do porządku należało nietylko poświęcić znaczne sumy ale całą armię robotników, których też tysiące sprowadził król Francyi. Wersalskie ogrody kosztowały na owe czasy bajońskie sumy 500 milionów franków co na nasze obecne stosunki wyniosło by około 2 miliardów franków. Posłuchajmy co estetyk Tieck o tych ogrodach mówi:

„Z powstawaniem nowych pałaców, zagościła tam książęca architektura, a gdy wniknęły do zamków możnych spokojniejsze życie, sztuka, dowcip i towarzyskość, zagospodarował się architektoniczny styl także i w ogrodach. W nich musiał panować ten sam porządek i ład jaki był wśród kolumnad i sal pałaców, one miały dać towarzyskości najweselsze otoczenie. W ten sposób powstały te regularne, szerokie i tak liczne aleje, tu zniewolono rośliny stojące w nieładzie, do zszeregowania się w zielone ściany. Wzgórki zamieniono na terasy i wygodne schody, a kwiaty stały na grzędach zszeregowane. Usunięto starannie wszystko, co było dzikiem lub nędznem. Na wielkich kolistych lub czworobocznych placach szukano chętnie wiosennego słońca. Gałęzie drzew tworzyły sklepienia dla szukających cienia. Splecione szpalery otoczono siatką, w których niby na swobodzie bujało różnorodne ptactwo. Fontanny, których tryskające wody przerywały spokój, niby muzyka natury gwarzyły, uporządkowane strumienie wody w rozmaitych kierunkach się wznosząc z muszli, trytonów i posągów wodnych bóstw, służyły jako fantastyczne ozdoby, w granicach systematycznie wyliczonych. Pstra i zielona przestrzeń była tylko przedłużeniem sal i komnat, zastosowana dla licznych towarzystw. Różnorodnym myślom przygotowana, stosowała się zarówno do przepychu i głośnej zabawy, jak do miłego schronienia dla samotności. I ten kto był bez troski i pogrążony w zadumie niczego tu nie znajdował co by go drażniło i zwodziło. Żywa przyroda otaczała ich czarownie, owemi prawidłami, w jakich człowiek rozsądku, zastanowienia i wewnętrznej niewidocznej władzy, matematyki jego jestestwa, trwale przebywa“.

Renesansowe, a zatem i z czasów baroku ogrody noszą cechę nietylko ówczesnych ludzi południa, ale także budowy terenu i klimatu. Tutaj pałac stał się wszystkiem, ogród tylko ozdobą. Przezto głównie pałac, a przed nim fontanna były punktami krystalizacyjnemi w budowie ogrodów. Widoków stwarzać nie było potrzeby, bo dom stojący zawsze na wysokości dawał daleki wgląd w okolice ponad terasami ogrodów. Na terasach, a choćby na płaszczyźnie poprzecinano drogami równomierne, symetryczne figury, otoczone żywopłotami t. zw. boskety. Trawnik jest na południu rzadkością i trudny do utrzymania, przeto nie trawnik był przed domem ale z bukszpanu strzyżone geometrycznie figury, coraz zawilsze im dalej sięgają w czasy baroku. Dalsze jardina, to gaje otoczone drogami. W tych ogrodach i kwiatów było skąpo. Sztywny, można powiedzieć, twardy był ogród architektoniczny jaki stworzyli Włosi.

Le Nôtre wytyczył nowe drogi, bo w nowych tworzył warunkach.

Jego zasługą jest gigantyczność samego ogrodu. Pokusił się on, aby dać z terasy pałacu widok na nieskończoność i naprawdę to złudzenie osiągnął. Cały plan, rozkład głównych dróg, rozkład wód zdąża, po za innemi, w tym kierunku. Powierzchnia, długość wielkiego symetrycznego stawu tak obliczona, że zlewa się jego brzeg z horyzontem i ogród zda się być nieskończenie wielki.

Dr. Werner Hegemann mówi:

„Cały Wersal może służyć jako jedyny wielki stosunek i spięcie perspektywicznego wrażenia

---

[1]) Les Jardins de l'Intelligence.

tego okna w nieskończnność, leżącego w głównej osi, do pałacu. Nawet długość 1600 m. wielkiego kanału tak obliczona w całości obrazu do czego on stworzony, mianowicie aby sięgał z wysokości terasy tak, by zielone kobierce (tapis vert.) i dolne części ostatnich drzew go obchwytywały. Jest to istotnie kamień węgielny, w sklepieniu otaczającym parter Latony. Na tym kamieniu wspiera się jak nadziemskie okno jedyna tu widoczna część widnokręgu. Żaden najromantyczniej założony park nie zdołał wywołać wrażenia nieskończoności, w tak nadprzyrodzony sposób, jak to czyni tutaj ten zamknięty stylizowany ogród".

Po zatem Le Nôtre jako francuz nadał swemu dziełu pewnego rodzaju wytworność, ożywił, ogrzał, umilił ten włoski wzór. Massy wody, lśniącej lustrzaną powierzchnią lub perlącej się z niezliczonych gardzieli trytonów, rogów, wodników, nimf i t. p. ożywiło niepomiernie ogród. Parquets de verdur jak najpiękniejsze topazy osadzone w arcydzieło inżynierskiej roboty w drogi regularne, masę kwiecia, niespodzianek, tysiące pomysłów, wszystko wykończone, niemal wygładzone, a mimo to wszystko nosi piętno nie drobiazgowości ale wielkiej linii. Wielki letni salon — ogród wziął górę nad pałacem, który stał się jego integralną częścią w przeciwieństwie do włoskich ogrodów, gdzie ogród służy pałacowi.

Niebywałe rozmiary, wykwintne urządzenie i ta matematycznie ściśle przeprowadzona idea królewskości w ogrodzie, uwieńczona sukcesem, uczyniły ogród wersalski wzorem dla całej Europy. Nie było królewskiego dworu, nie było książęcej rezydencyi, gdzie by nie myślano o francuskich ogrodach lub nie przerabiano ich w tym duchu. Czynił to Le Nôtre lub jego naśladowcy.

Jeszcze jeden ważny moment trudno pominąć, jak wpływ działalności Le Nôtra odbija się w naszem współczesnem życiu. Budowa miast stała się odrębną gałęzią wiedzy ludzkiej, sztuką samą dla siebie. Niebawem spostrzeżono, że tutaj idee budowy ogrodów wkroczyły w tę nową dziedzinę. Alfred Lichtwark w swoim Stadtebau mówi o wielkiej gwieździe (Grande Etoile) w Paryżu, że ta część Paryża była istotnie nie jako miasto założona, ale jako stylizowany krajobraz. Miasto wrosło do tego ogrodu dopiero w 19 stuleciu. Cały świat, co Paryż brał za wzór, nie spostrzegł się, że ten przepiękny trakt niema nic wspólnego z budową miasta.

STANISŁAW GOLIŃSKI.

C. D. N.



CREMATORIUM.

W ciszy pod baldachimem greckim tympanonu
Prochėm był, od mrowego robactwa nietknięty.
Kapituły wyklęły go od chwili zgonu
Bo złożył prochy w urnę, nie pod grządkę mięty.

Śród kolumn pożyczonych z świątyń Partenonu
Pozieleniała deszczem, stoi popielnica...
Czasami liść ją trąci z sędziwego klonu
Lub jesień, słońcem złota, utopi w brąz lica,

Inni, dla przyjętego zdawna zabobonu
Martwym rzędem spoczęli pod nieśmiertelniki...
A w ich piersiach przegniłych czerpią ziarno plonu

Kobierce żywych kwiatów, niby dalmatyki
Rozpięte na ramionach martwych dygnitarzy,
Dawnych praw i porządków stojących na straży.

H. OCHENKOWSKI.

PIESECZEK.

Tymi dniami straciłem mojego pieska, właśnie w dniu, kiedy kończył szósty miesiąc swojego istnienia. Inteligentne, duże jego oczy rozwarły się, aby patrzeć na świat w zadumie i ażeby polubić ludzi, a zamknęły się znowu przed krzywdzącą tajemnicą śmierci...

Przyjaciel, który mi go podarował, nadał mu przez ironię prawdopodobnie, niezwykłe imię „Pelleas". Pozostawiłem mu to imię. Czyż bowiem taki biedny, wierny i przywiązany pieseczek potrafiłby shańbić imię jakiegokolwiek męża lub fantastycznego bohatera?

Mój buldożek miał szerokie, wzniesione czoło, jak czoło Sokratesa lub Verlaine'a, szerokie, symetrycznie zwisające wargi pod małym, czarnym, wciśniętym noskiem, nadawały jego obliczu wyraz groźny, uparty i zamyślony.

Był piękny pięknością monstrum przyrody, które się ściśle dostosowało do praw swojego gatunku. Uśmiech pilnej usłużności, niezepsuty, niewinny, uśmiech pełnego miłości oddania się, uśmiech bezgranicznej wdzięczności opromieniał przy najdrobniejszej pieszczocie szpetotę tej cudownej maski. Trudnoby określić, gdzie właściwie mieściło się źródło tego cudownego uśmiechu: Czy w dobrych, miękkich oczach? Czy na uszkach, które się podnosiły natychmiast, skoro posłyszały dźwięk mowy ludzkiej?... Może na czole, które układało się w fałdy, kiedy zwierzątko chciało dać do zrozumienia, że coś pojmuje lub się z czegoś cieszy? Może na tych czterech małych, wystających, białych ząbkach, które jasno z pod czarnych warg lśniły? A może w małym ogonku, rasowo przegiętym, który szybko się poruszał, aby wyrazić snadź wewnętrzną, gorącą radość i ukontentowanie, jakiem przejęta była mała istota, ilekroć upieściły ją ręka lub wzrok owego boga, któremu się oddała.

„Pelleas" urodził się w Paryżu, a ja zabrałem go z sobą na wieś. Duże, niekształtne i miękkie jeszcze łapięta unosiły ogromną, poważną, obciążoną myślami głowę, miękko i ostrożnie po niezbadanych ścieżkach jego nowego bytu. Ta bowiem biedna, nieco smutna głowa, podobna do głowy przemęczonego dziecka, zaczynała żmudną pracę, która każdą duszę wyczerpuje w zaraniu życia. W pięciu lub sześciu zaledwie tygodniach musiała ona przecież zbadać świat cały i złączyć nabyte wyobrażenia w obraz jeden. A przecież człowiek nawet przy pomocy swoich przodków i braci potrzebuje w najlepszym razie lat trzydziestu lub czterdziestu na to, ażeby ukształtować sobie światopogląd, a raczej, ażeby taki obraz nabyty, jak zamek tęczowy, otoczyć świadomością własnej swojej niewiedzy i niepojmowania. Skromna psina musi go jednak sama jedna, bez obcej pomocy, w dniach niewielu pojąć i przyswoić. A czyż ten obraz w oczach wszechwiedzącego Boga niema prawie takiej samej wartości i wagi, jak nasz?

. . . .

Chodziło zatem o to, ażeby się oddać badaniom nad ziemią, w której można grzebać i kopać dołki, a która kryje w sobie często nadzwyczajne niespodzianki: glisty i poczwarki gąsienic, krety, duże myszki polne i piskliwe świerszczyki. Musiał pieseczek rzucić długie spojrzenie ku niebu... i egzystencyę tego nieba najzupełniej zignorował: nie dostarczało ono nic takiego, coby było jadalne.

Trzeba było nauczyć się rozpoznawania trawy, tej cudownej, zielonej trawy, tak miękkiej i świeżej,

po której można biegać i bawić się, a wreszcie pięknie się na niej położyć, w której znaleźć można i psią trawkę, jak wiadomo niesłychanie zdrową dla pieseczka. Wśród szybkich zmian następujących po sobie musiał jeszcze porobić tysiące nadzwyczajnych odkryć i ważnych ustaleń. Tak naprzykład nie mając innego przewodnika prócz odczutego bólu, nauczył się oceniać wysokość przedmiotów, z jakich można zeskakiwać. Przekonał się, że próżnym jest trudem chęć pochwycenia ulatujących ptaszków i że nie można się drapać na drzewa, ażeby łapać koty, które tak ironicznie spoglądają z góry na dół na pieseczka. Musiał się nauczyć odróżniania jasnych, słonecznych miejsc, na których śpi się tak miękko i przyjemnie, od ciemnych kątów, w których zimno się robi. Najzupełniej zdumiony musiał zrobić odkrycie, że w domach deszcz nie pada, że woda jest zimna, że się w niej mieszkać nie da i że jest niebezpieczna, podczas gdy ogień z oddalenia robi dobrze, z blizka natomiast staje się strasznym... Musiał sobie przypomnieć, że na pastwiskach, wśród opłotków gospodarskich, a czasem i na drogach grasują olbrzymie stworzenia ze strasznymi rogami — stworzenia może dobroduszne, ale milczące — które nawet można wcale niedyskretnie obwąchać — nie wprawiając ich w irytację — które jednak umieją ukryć złe swoje zamiary. Po wielu upokarzających i bolesnych doświadczeniach musiał sobie zapamiętać, że w mieszkaniu jego bogów nie wolno dawać folgi wszystkim prawom natury, że kuchnia jest najlepszym i najprzyjemniejszym kątem w tem boskiem mieszkaniu, choć długo nie można tam było przesiadywać z powodu kucharki, która posiadała dużą, acz zazdrosną władzę. Upewnił się, że drzwi to przedmiot ważny, ale i kapryśny, że czasem prowadzą do szczęścia, najczęściej jednak zamknięte hermetycznie są surowe i nieme, dumne i bez serca i że na wszelkie prośby są głuche. Raz na zawsze musiał też dojść do przekonania, że najważniejsze dobra istnienia, dające najwyższe i najprawdziwsze szczęście, zamknięte są na ogół w garnkach i miskach niedostępnych. Nauczył się spoglądać na nie z obojętnością, tak ciężko nabytą, a chodzić obok nich jak gdyby koło uświęconych przedmiotów: wystarczyło ich tylko dotknąć nabożnie języczkiem, ażeby nagle rozpętać jednomyślny gniew bogów mieszkania.

. . . .

A cóż dopiero pomyśleć musiał o stole, na którym tyle stawia się rzeczy, że nawet odgadnąć nie można, jakim one służą celom? A cóż o ironicznych krzesłach, na których spać nie wolno, o miskach i talerzach, które były całkiem próżne, kiedy mu je zostawiano? Albo o lampie, która ciemność rozprasza, albo o kominku, który z dni zimnych robi ciepłe?... Ileż niebezpieczeństw, ileż zagadek musiał utrwalić w swoim przeciążonym mózgu? I jakże on to wszystko miał sharmonizować z innemi prawami, z innemi większemi zagadnieniami, które nosi się w sobie, w swoim instynkcie, które naraz wypływają nagle w świadomości i coraz bardziej z godziny na godzinę rozwijają się, które tkwią korzeniami głęboko w przeszłości i w rasie, które wciskają się w krew, w mięśnie i nerwy i nagle występują bardziej niepowstrzymane i potężniejsze, niż ból, rozkaz pana, lub obawa śmierci? Dla przykładu rzecz jedna: Skoro wybiła godzina, kiedy ludzie udają się na spoczynek i psinka idzie do kącika otoczonego ciemnością, ciszą i straszną samotnością nocy — kiedy wszystko w domu pana spoczywa pogrążone w śnie głębokim — wtedy czuje się ona taką małą i słabą wobec tej ogromnej tajemnicy... Wiadomo przecież, że ciemność zaludniona jest przez wrogów, którzy snują się po niej i czyhają... i czatują... Ma się podejrzenia na drzewa, na wiatr jęczący... na tajemnicze promienie księżyca...

Chciałoby się wtedy gdzieś ukryć, wstrzymać oddech, ażeby nie módz być przez nikogo odkrytym. A jednak czuwać trzeba koniecznie. Za najdrobniejszym szmerem trzeba opuścić miejsce schronienia, stawić czoło niewidzialnemu niebezpieczeństwu i nagle przerwać majestatyczne milczenie gwiazd, chociażby nawet tem samem miało się czyhające nieszczęście czy zbrodnię ściągnąć na siebie samego. Jakikolwiek byłby to wróg, choćby nim był nawet człowiek, a więc brat tego Boga, którego ma osłaniać — trzeba go na oślep zaatakować, skoczyć mu do gardła, i zagłębić swoje ostre zęby w ludzkiem mięsie, zapomnieć o boskości ręki i głosu pana nie wolno mu nigdy milczeć, ani nigdy uciekać, nie wolno nigdy uledz pokusie, ani dać się przekupić, sam jeden bezbronny wśród nocy musi dalej szczekać aż do tchu ostatniego do ostatniego jęku! Oto wielki obowiązek, który odziedziczył po przodkach, — obowiązek większy i silniejszy niż śmierć, obowiązek, którego nawet wola i gniew przezwyciężyć nie zdoła. Jestto prawie zupełnie tasama nasza skromna historja ze swojemi licznemi pierwszemi walkami przeciw wszystkiemu — co tutaj widzimy. A ta skromna, straszna historja odżywa co noc w prostej pamięci naszego drogiego przyjaciela. Jeżeli go w naszem mieszkaniu ukarzemy kiedy dla zbytniej jego gorliwości, wtedy rzuca on nam zdumione spojrzenie pełne wyrzutu, jakby chciał nam dać znać, że jesteśmy w błędzie: zapominamy o głównym punkcie układu, jaki zawarliśmy z nim w onych czasach zamierzchłych, kiedy mieszkaliśmy jeszcze po jaskiniach, lasach i bagnach. Mimo to dochowuje on nam wierności w tem życiu pełnem zasadzek i złowrogich potęg. — Ale ileż to trosk i badań składa się na to, zanim tak daleko się dojdzie, że się jest w stanie mądrze i skromnie obowiązek swój wykonać? A jakże bardzo skomplikowany stał się ten obowiązek od czasów tych ukrytych jaskiń i dużych jezior samotnych? Wtedy był on taki prosty, jasny i łatwy! Wszystko co się ruszało na widnokręgu równin czy lasów — było wtedy bez wątpienia wrogiem!...
Dziś nic pewnego w tym względzie wiedzieć nie można. Trzeba się trzymać na poziomie pewnej kultury, którą się potępia i trzeba nadrabiać miną tak, jakby się rozumiało tysiące rzeczy zupełnie niezrozumiałych. Zdaje się naprzykład, że cały świat już nie należy więcej do pana, ale że przeciwnie pan jest w tem swojem posiadaniu ograniczony! Dlatego też w pierwszym rzędzie koniecznem jest teraz wiedzieć dokładnie, gdzie, w którem miejscu kończy się uświęcony obszar władcy. Co należy tolerować a czemu przeciwdziałać? Oto istnieje np. droga i każdy, nawet nędzarz ma prawo z niej korzystać! Dlaczego? O tem nie wie się nic. Jest to fakt, nad którym się boleje, ale z którym liczyć się trzeba.

. . . .

Na szczęście jest tu także piękna ścieżka, ścieżka ogrodzona, której nikomu przekroczyć nie wolno. Ta ścieżka pozostaje wierną zdrowym tradycyom. Jest rzeczą bardzo ważną, żeby jej z oka nie spuszczać. Ona to jest tym czynnikiem, który psince codzień stawia ciężkie problemy do rozwiązania. Czy państwo życzycie sobie przykładu? Oto leży się sobie spokojnie ucinając drzemeczkę w blaskach słonecznych które zalewają próg kuchni tańczącemi i drażniącemi perłami i pierścieniami. Misy porcelanowe na etażerce pokrytej koronkami z papieru pobudzają się wzajemnie do śmiechu, trącając się łokciami. Garnki miedziane zadowalniają się rzucaniem jasnych kółek świetlnych na gładką przeciwległą ścianę. Ognisko rodzinne brzęczy cicho i wprawia w rozkoszny taniec trzy pokrywy na kuchennych garnkach, a przez małą dziurę, przez którą pieseczek zagląda do brzucha ogniska, wyciąga ono ku niemu ustawicznie swój język ognisty. Zegar ścienny,

który się nudzi śmiertelnie w swojej dębowej szafce, do chwili kiedy ma obwieścić wzniosłą godzinę obiadu, porusza tam i z powrotem swojem pozłacanem wahadłem, a chytre zdradzieckie muchy tną pieseczka po nóżkach. Na błyszczącym stole postawiono już kurę, zająca i trzy kuropatwy prócz innych rzeczy, które nazywają owocami albo jarzynką: widać tam groszek zielony, bób, brzoskwinie, melony i winogrona, (nic a nic nie warte).
Oto kucharka wydobywa dużą srebrzystą rybę,ale zamiast użyczyć wnętrzności pieseczkowi, wrzuca je do dużego zlewu...
Ach ten zlew!... Co to za niewyczerpana skarbnica, co to za bogaty teren do poszukiwań, co to za klejnot domu całego! Podstępnemi, chytremi drogami dochodzi się wprawdzie do znacznej części jego zawartości, ale trzeba ciągle tak udawać, jakby się wcale nawet nie wiedziało, gdzie on się znajduje, bo grzebanie w nim surowo jest zakazane.

. . . .

Tak to zakazuje człowiek niezliczonych przyjemnych rzeczy i życie byłoby posępne i smutne, a dni czcze i puste, gdyby się chciało odpowiedzieć wszystkim wymaganiom odnośnie do domu, piwnicy i jadalni. Na szczęście jednak, człowiek jest roztargniony i prędko ma zwyczaj zapominać o rozkazach, które rzuca na prawo i lewo. Da on się także łatwo oszukać. Dochodzi się do swoich celów i robi się to, co się chce, jeżeli się tylko umie dobrze wykorzystać odpowiednią chwilę i ma się cierpliwość czekania na nią. Jest się oddanym człowiekowi i on jest bogiem jedynym. Ale mimo to ma się także przecież i swoją ścisłą niewzruszoną moralność osobistą i własną etykę, która głośno obwieszcza, że zakazane postępki i czyny stają się zupełnie legalnymi, mocą tego jedynego tylko faktu, że dzieją się bez wiedzy pana. Dlatego też zechciejmy przymknąć baczne oczka, skorośmy coś wyszpiegowali. Udawajmy wtedy, że śpimy, albo marzymy o księżycu. Ach!... Oto ktoś stuka cicho w błękitne okno, które prowadzi na ogród. Co też to być może? Ach — to nic... — to tylko krzak kwitnącej tarniny się pochyla, żeby zobaczyć, co się dzieje w kuchni. Drzewa są ciekawe i bardzo często zdenerwowane. Ale ktoby się tam z niemi liczył! Im nic się nie ma do powiedzenia. Nie można ich nawet pociągać do odpowiedzialności za ich czyny, bo należą one do wiatru, który jak wiadomo nie ma żadnych zasad.
Ale cóż to?... Słyszę kroki... Baczność!... nastroszyć uszka, noseczek mieć w pogotowiu! Nie! — to tylko piekarz, który się zbliża do ogrodzenia, podczas gdy znów listonosz otwiera małą furteczkę w alei lipowej. To są znajomi — to dobrze. Przynoszą oni coś z sobą, należy ich dlatego tylko powitać. I z życzliwym uśmiechem merda pieseczek dwa lub trzy razy poważnie swoim ogonkiem. Ale otóż znowu jakiś hałas... Cóż to być może? Jakiś powóz zatrzymuje się przed bramą domu. Ach!... Sprawa zaczyna się stawać poważniejszą. Problem jest zawiły.
Przedewszystkiem trzeba się ze wszystkich sił wykrzyczeć na konie, na te duże dumne zwierzęta, zawsze ślicznie ubrane i oblane potem, które nigdy nie dają odpowiedzi. W międzyczasie ukradkiem, mierzy się wzrokiem osoby, które poczynają wysiadać.
Są one elegancko ubrane i zdają się mieć dużo pewności siebie. Prawdopodobnie chcą zająć miejsce za stołem bogów. Wypada więc szczekać bez zajadłości, z odcieniem respektu, ażeby okazać, że się pełni powinność — ale z inteligencją. Mimo to ma się co do nich swoje ukryte myśli i wątpliwości i za plecami gości węszy się w powietrzu uparcie, a z miną rozumną, żeby wywąchać ich zamiary.

W tym samym momencie zbliża się ktoś nieśmiałym krokiem do kuchni. Tym razem jest to żebrak z torbą, najważniejszy, specyficzny wróg — potomek w prostej linii tego, który zamieszkiwał niegdyś jamę wypełnioną kośćmi. Raptownie wyłania się on znowu w pamięci rasowej. Pijany oburzeniem zgrzytając zębami i wydajac krótkie warknięcie, chce się piesek dobrać do spodni śmiertelnego wroga, gdy wtem zjawia się kucharka uzbrojona w miotłę, w berło swe i ochrania zdrajcę. I jest się zmuszonym cofnąć się do kąta, skąd rzuca się tylko gniewne błyski oczu i straszne ale niestety próżne złorzeczenia władcy, a pocichu myśli się tymczasem, że to już chyba koniec świata się zbliża, że już niema więcej praw na świecie, że ród ludzki zatracił już zupełnie pojęcie o różnicy między dobrem a złem... Ale czy to już wszystko?... Nie jeszcze. Życie najdrobniejszej bowiem istoty składa się z obowiązków niezliczonych i długiej trzeba pracy, ażeby sobie módz stworzyć byt szczęśliwy na granicy dwóch tak różnych światów, jak świat zwierzęcy i ludzki.

A jakież byłoby nasze zachowanie się, gdybyśmy, pozostawszy w naszej sferze, musieli służyć bóstwu już nie wyimaginowanemu, które podobne jest do nas samych, ponieważ stworzył je nasz duch własny, ale bogu widocznemu, wszechobecnemu, ustawicznie czynnemu, który naszej istocie przedstawia się również tak nieskończenie wyższym — jak psu istota nasza?...

MAURYCY MAETERLINCK.

PRZEŁOŻYŁ EDMUND BIEDER.



III KONKURS *‹SZTUKI›*.

W celu uzyskania projektu na grobowiec rodzinny, zwrócono się do Redakcji „Sztuki“ z propozycją rozpisania konkursu publicznego wśród artystów polskich. Fakt ten witamy z wielką radością, gdyż daje on sposobność przeglądu dorobku artystycznego naszych sił na tak bardzo zaniedbanym u nas polu, jakim jest sztuka monumentów nagrobkowych. Cmentarz — pomimo, że pozornie należy „do tych, co przeszli“ — jest jednak tylko jednym z przejawów życia tych, co pozostali, więc żywych i jak wszystko, co od życia zależy, przechodzi ewolucje i stosuje się w charakterze do epoki swych twórców. To „campo santo“ powstałe z przyczyn natury czysto praktycznej, dla usunięcia ciał, duch ludzki wyposażył potężnym zapasem węzłów mistycznych, nawiązując do niezmiennego i odwiecznego objawu śmierci wszystkie pojęcia filozofii i wierzeń religijnych. Im większe znaczenie dla społeczeństwa miały te pojęcia, tem ono bardziej dbało o charakter i wyposażenie swych cmentarzy. I źle o nas mówią cmentarze naszej epoki. Szablon, bezmyślność i próżność są głównemi cechami tych niemiłych „ogrodów śmierci“. Kto zna stare cmentarze rzymskie z czasu, gdy wiara w życie pozagrobowe tylko słabo się zarysowywała, i kto je porówna z naszemi z końca zeszłego stulecia, ten smutne wyrobi sobie pojęcie o najbliższym nam okresie. Ale zaczyna się ruch w kierunku dodatnim. W Anglii i Niemczech w ostatnich czasach pojawiły się starania, by obronić miejsca spokoju wiecznego przed zgiełkiem jarmarcznym, spekulacją i tandetą. Szereg czujących głębiej artystów zabrało się do pracy i wyniki już są widoczne. Drogą konkursów zdobyto nowe formy i nowe szerokie pole dla talentów.

Warunki Konkursu na Grobowiec Rodzinny.

1. Grobowiec, w formie i stylu najzupełniej dowolnym, ma stanąć na nowszej części cmentarza krakowskiego, przyczem artyście pozostawia się wybór miejsca i tła roślinnego.

2. Grobowiec musi być wykonany z materjału trwałego, o ile możności pochodzenia krajowego.

3. Projekt powinien uwzględnić prócz architektonicznego wzlędnie rzeźbiarskiego rozwiązania samego przedmiotu także stosunek jego do otoczenia a ewentualnie zaprojektowanie tła roślinnego.

4. Wymagane są:
a. Widoki w rysunku linijnym w skali 1:20 w odpowiedniej ilości.
b. Rzut poziomy i 2 przekroje 1:20 (podłużny i poprzeczny).
c. Widok perspektywiczny z uwzględnieniem otoczenia.
d. Plan sytuacyjny z uwzględnieniem otoczenia w skali 1:50 lub ew. 1:100.
e. Opis przedmiotu co do wykonania i materjału oraz przybliżone obliczenie kosztów wykonania, które nie powinny przekroczyć sumy 7.000 Koron (w co nie wchodzi koszt placu i robót murarskich w ziemi). Zaznaczone ma być nadto, że stający do konkursu zobowiązuje się w tej cenie ewentualnie wykonać budowę.
f. Koperta z dokładnym adresem i nazwiskiem autora.

Uwaga. Model w dowolnem wykonaniu pożądany, lecz nie obowiązujący.

5. Prace należy nadsyłać do krakowskiej redakcji „Sztuki": rysunki w zapieczętowanej teczce, modele w dobrem opakowaniu, bez znaku ani godła, najdalej do dnia 15 lutego 1914 r. Każdy projekt z chwilą nadejścia dostaje numer porządkowy, który mu będzie służył za godło. Nadsyłający winien wskazać adres, gdzie możnaby przesłać mu potwierdzenie odbioru i numer jego pracy.

6. Nagroda ***500 Koron.*** *Pozatem rozpisujący konkurs ma prawo zakupienia jeszcze jednego projektu za 200 Koron.*

7. Wynik konkursu będzie najdalej w 3 dni po rozstrzygnięciu ogłoszony w główniejszych pismach codziennych, a w najbliższym numerze „Sztuki" będzie umieszczone dokładne sprawozdanie.
Nagroda zostanie wypłacona, nazajutrz po ogłoszeniu, w krakowskiej redakcji „Sztuki".
Prawo reprodukcji projektów odznaczonych przysługują wydawnictwom „Sztuka", i „Kronika Artystyczna"; innym zaś czasopismom za porozumieniem się z red. „Sztuki".
Projekty nienagrodzone, najdalej w przeciągu 2 tygodni od ogłoszenia wyniku konkursu winny być przez autorów odebrane.

8. Sąd konkursowy stanowią pp.

Profesor Akademji Sztuk Pięknych Teodor Axentowicz,
Wiceprezes Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie Dr. Tadeusz Cybulski,
Prezes Tow. Ochr. Piękn. Krakowa Dr. Stanisław Goliński,
Redaktor „Sztuki" Henryk Juszkiewicz,
Wiceprezes Krakowskiego Koła Architektów, prof. Wacław Krzyżanowski.

Redakcja „Sztuki".

KRONIKA ARTYSTYCZNA

WARSZAWA-KRAKÓW-POZNAŃ-LWÓW. PAŹDZIERNIK-LISTOPAD 1913.

SZTUKI PLASTYCZNE.

WYSTAWY W WARSZAWIE.

PAŹDZIERNIK.

Rzecz charakterystyczna: w Warszawie bardzo wiele mówiono o wystawie teatralnej, a bardzo mało o tem, że w „Zachęcie“ można było przez długi czas oglądać kilkanaście nieznanych arcydzieł Stanisławskiego. „Arcydzieło“... Jakto te „szkice“ — to arcydzieło? Tak się dziwią niektórzy luminarze sztuki u nas, że „małe“ obrazki, „niedokończone“, mogą wzbudzić zachwyt — czyj? — ach, „snobów“, co się bredni przeróżnych nasłuchali w Krakowie. Sam nawet czuję pewien niesmak, że napisałem wyraz „arcydzieło“ w zastosowaniu do tych rozkosznych poematów o naturze, do tych upieszczonych, umiłowanych, kochającemi oczyma ujrzanych i cichem powietrzem niby oddechem serca otulonych drzew i kwiatów, łąk i sadyb ludzkich Stanisławskiego. Te głębokie przesubtelne barwy, pełne nieuchwytnych świateł, cieniów i półcieniów, to oddala odtworzone leciuchno, pełne szerokiego oddechu pól i stepów; ten pałac dożów, widziany jakby we śnie, a tak prawdziwy w swym czarownym kolorze, aż się wydaje, że czujemy charakterystyczny zapach Wenecji nań patrząc, — wszystko to nie pasuje do tutejszego pojęcia o „arcydziele“, które koniecznie być musi czemś sztywnem, suchem, nudnem, lakierowanem, bezdusznem, zimnem i tak „skończonem“, że ani w niem, ani poza niem nic a nic się nie odczuwa.

Ale mniejsza o to.

Obok Stanisławskiego umieszczono szereg obrazów p. Buyki, który kilka razy, między innemi, opisał barwami, w jakiem świetle ujrzał pałac dożów. Jedna z tych impresji jest odtworzona w tonie zasadniczo podobnym do impresji Stanisławskiego — ale to właśnie jest jej nieszczęściem, bo nasunęło porównania. Otóż pałac dożów p. Buyki jest chwiejnie postawiony, powyginany i postrzępiony. Jest w tem malowaniu nonszalancja, zasadniczo przecząca sztuce. Nic nie mam przeciw „rozmachowi“ — ale trzeba przecież, żeby na obrazie nie było ani jednej setnej części milimetra nieodczutej. Szerokie malowanie Velasqueza tem właściwie się różni od rozmachu, naprzykład, Żmurki.

Otóż w obrazach p. Buyki jest taka jakaś niedbałość, jakby umyślna. Że p. Buyko wmawia w nas ostrą zieloność — jak na liściach kasztanu w czerwcu — nieba poza basztami Florencji, czy Wenecji, to, — chcę w to wierzyć, — nie ma na celu tylko „épater le bourgeois“, ale jest zapewnie doświadczeniem malarskiem, usiłowaniem oddania prawdziwych swoich wrażeń. Ale mazgi, szczerby na domach i wyginania się ich niby żagli na wietrze, kwalifikują się raczej do rzędu tak zwanych „puszczanych“ miejsc w obrazie.

W obrazach p. Buyki panuje dysharmonja, barwy kłócą się ze sobą o swoje pochodzenie, bo nie wiedzą dobrze, czy je wydała jednolitość przeżyć autora, czy też sztuczność pomysłów i dążenie do ekscentryczności, gmachy niekiedy się zataczają — ale swoją drogą jest to wszystko żywe, a w kilku obrazach artysta zdołał zachować jednolitość wrażenia i wskutek tego sharmonizował barwy, tworząc bardzo interesujące, mocne i świeże całości. Jest to talent rzeczywisty, któremu nie wolno być nieszczerym (bo są znów takie talenty, których cały wdzięk jest w nieszczerości, są takie, co prześlicznie kłamią — a p. B. do nich, jak się zdaje, nie należy).

Zupełnie innego rodzaju cykl wystawił p. Stabrowski. Są to bardzo wytwornie, szczerze i poprostu opowiedziane wrażenia podróżnika po Hiszpanii i wyspach Kanaryjskich. Wdzięk bezpośredniości jest w nich tak wybitną cechą, że pod tym względem kilkadziesiąt impresji p. Stabrowskiego stanowi zupełny u nas — a pewnie też nie u nas — wyjątek. Daje to jego obrazom siłę i życie. Dawno nie widziałem w pejzażach takich subtelnych oddali, takich żywych, fal morskich, takich ciężko upalnych dni, malowanych z zadziwiającą prostotą, sposobami, zdawałoby się niepodobnymi do zastosowania. Niepodobna naprzykład wątpić, że w tym ciemnym parku, gdzie z trudnością przez gąszcze się przedzierają pasy słońca, padając na zeschłą ziemię, panuje zastygły skwar hiszpańskiego południa. Jest tam jakieś zesztywnienie w naturze, odczute i zrobione z zadziwiającą siłą. Gorące słońce odczuwamy też w cysternie, otoczonej podzwrotnikowym lasem, w przepysznem hiszpańsko-maurytańskiem podwórzu, gdzie fontanna bije na środku rzeźwiąco i sennie zarazem, wśród przedelikatnych barw murów i drzew.

Śliczne są także wspomnienia ze skalistych, dzikich żlebów wulkanu, interesujący cień stożkowatego krateru na chmurach i wiele, wiele innych.

Przejdźmy wreszcie do tego, o czem w Warszawie mówiono najwięcej: do wystawy teatralnej.

Jest to niewątpliwie wystawa bardzo ciekawa — i pouczająca — i wdzięczność należy się jej inicjatorowi, p. Fr. Siedleckiemu, za jej urządzenie. Wobec gorączki teatralnej, jaka ogarnęła Warszawę, mieliśmy sposobność dowiedzenia się o pomysłach, jakie mają artyści współcześni, aby ze-

spolić rozbijane zazwyczaj na drobną monetę wrażenia sceniczne, i dawać stroje i dekoracje takie, które uwydatniają treść, nie zaś ją obciążają balastem realistycznych szczegółów i szczegolików. Kosztowne, „prawdziwe“, „autentyczne“ biurka, krzesła, ubiory i t. p. staczają się w przeszłość. Stwierdzono, że nie pomagają one do usłyszenia ze sceny istoty poezji danego dzieła. Trzeba wytworzyć świat, zbliżony do wizji autora, a raczej nie to — trzeba dać tło, takie światło, takie barwy, takie zarysy sceny, któreby pomagały naszej wyobraźni do ujrzenia wizji poety. Zrozumiano, że nie trzeba widzowi pokazywać wszystkiego, co ma ujrzeć, bo wtedy właśnie nie dojrzy nic, a duch poety uleci. Trzeba tylko wytworzyć warunki, w których najczyściej zadźwięczy poezja, najwyraźniej rozwinie się tok wydarzeń scenicznego utworu.

W tym kierunku pracują reformatorzy dekoracyjności teatralnej — i tego rodzaju pomysły ujrzeliśmy na wystawie. Bakst, Wyspiański, Craig, Siedlecki, Drabik, Dierzbicki, Dienstl i inni dali mnóstwo prób w tym rodzaju, albo malowanych na kartonach, albo też odtworzonych na kompletnych, plastycznych, ubarwionych i oświetlanych małych scenkach.

Jednakże są to tylko p o m y s ł y — i dlatego o nich wyrokować nie sposób. Pomysł w sztuce nic jeszcze nie mówi. Sztuka objawia się przez jej dokonanie. Otóż dekoracja sceniczna jako rzecz sama w sobie rozpatrywać się nie da. Trzeba ją zobaczyć w zastosowaniu na scenie, obok gestów, słysząc jednocześnie mowę tak ubranych, w takie otoczenie postawionych postaci. Wszelkie sądy na zasadzie kartonów, czy minjaturowych scenek powinny się zaczynać od „zapewne“. Przedstawienie teatralne jest jednolitą całością, składającą się z tylu pojedyńczych rzeczy, że tylko doświadczenie tutaj prawdę może pokazać. Można też tylko z wystawy teatralnej wyrokować o tem, że kierunek obecnych dążeń jest słuszny, nic więcej. O jednym tylko Wyspiańskim możemy mówić na pewno, bo wykonania jego pomysłów widzieliśmy. Wiemy, że to są dzieła sceniczne nieporównane, wielkie, zupełnie nowe, zmieniające pojęcie przedstawienia teatralnego, tak, jak Wagner zmienił operę. Ale wiemy też, że ten sam pomysł genjalnego człowieka, wykonany przez kogo innego, nie był ani w trzeciej części tak świetnym, niż za jego samego reżyserji (choćby tylko wskazówek) i ustawiania na scenie. „Bolesław Śmiały“, grany w Krakowie — i ta sama tragedja grana w Warszawie — to są dwie zupełnie różne sztuki. Teatr tworzy nie reformator pojedyńczego działu w przedstawieniu, ale twórca, który obejmuje jednem spojrzeniem całość techniki teatralnej. Nowy teatr — to nie nowa dekoracja i ubiory, ale przedewszystkiem nowy duch, który harmonijnie obmyśla wszystko, czego wymaga dane dzieło. Teatr w nowej szacie zewnętrznej może być lepszym od dawniejszego, ale jeszcze nie będzie nowym, ani nawet innym.

Poszczególna ocena każdego z wystawionych pomysłów zajęłaby chyba parę arkuszy druku. Dlatego też wspomnę tylko jeszcze o nowym i ciekawym pomyśle p. Borawskiego, który rzuca światło z poza sceny, nie zaś wprost na scenę i tworzy dekoracje przezroczyste, olbrzymie witraże dekoracyjne, co niewątpliwie ożywia scenę i oświetla aktorów jednolitem światłem. Znika w ten sposób różnica pomiędzy oświetleniem osób a pejzażu, gdzie te osoby działają.

JAN KLECZYŃSKI.

TEATR.

TEATRY W WARSZAWIE. U WRÓT SEZONU.

(SIERPIEŃ — WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK).

Warszawa nie zna właściwie naturalnego w wielkich miastach Zachodu rozgraniczenia sezonów teatralnych. Słabe na ogół tętno życia nie rozporządza dość silnymi kontrastami, aby mógł istnieć świadomy sezon martwy. Bardziej interesujące momenty życia artystycznego nie są uwarunkowane okolicznościami kalendarzowemi. Rodzi je przypadek i przypadek nimi kieruje.

Sierpień—wrzesień—październik to w Warszawie nie jest kanikuła i raptowne przejście do kampanji, przemyślanej i przygotowanej jeszcze w sezonie poprzednim. To jest normalny tryb rzeczy, z początku trochę bardziej śpiący później trochę — mniej śpiący.

* * *

Teatr Polski, wbrew twierdzeniom krytyków kawiarnianych, śniących o gestach olśniewających, jest instytucją młodą, żywotną, szukającą — w miarę sił swoich — drogi własnej. Drogi tej nie znalazł jeszcze, ale szuka sumiennie. Nie ma też czasu na odpoczynek kanikularny. W lecie więc, po „Lilijach“ i po „Gromiwoi“ przyszedł wieczór Molière'a i „Burza“ Szekspira.

Na wieczór Molière'a złożył się „Lekarz mimo woli“ i „Grzegorz Dandin“. Cel widowiska tego był konwencyonalny raczej, niż teatralny. Chodziło tu o złożenie hołdu ojcu komedji nowożytnej, do czego nadawały się znakomicie jego komedje najbardziej molierowskie, choć bynajmniej nie najbardziej teatralne. W „Lekarzu mimo woli“ i w „Grzegorzu Dandinie“ reżyser przeciętny nie ma do powiedzenia nic, poza wykazaniem się ze znajomości tradycyi. Nic też nie powiedział, poza tem, że się ze znajomości tradycji wykazał. Cała strona wewnętrzna i wszystko to, co reżyser może aktorom podyktować, było utrzymane. Nie dość rozhukane tempo „Lekarza“ i niezupełnie groteskowe ujęcie „Dandina“ — są to już usterki, podlegające dyskusyi.

Inną natomiast z wieczoru Moliere'a wyprowadzam wskazówkę praktyczną. Aktor ostatniej doby tyle się nasłuchał o odrodzeniu teatru, o donioslości i potrzebie stylizacyi, o pietyźmie dla stylu, że musiał się uczuć srodze

zakłopotanym, gdy zapragnął teorję stosować do praktyki. A zamęt powiększa się przez konwencjonalne pojęcie „stylu“, pokutujące wraz z zaduchem starych rekwizytów za kulisami. Toteż w „Grzegorzu Dandin“ aktorzy „stylizowali“ z tak nieznośną precyzyjnością, że obie komedje przesycili fałszem i to fałszem nie życiowym, ale artystycznym. Uwaga ta nie dotyczy zresztą, na szczęście, ani Zelwerowicza, ani Jaracza, którzy obu bohaterów stworzyli indywidualnie, inteligentnie i zgodnie z duchem Moliere'a.

„Burzę“ Szekspira Teatr Polski traktował widowiskowo i uczynił doskonale. Bajka błaha, mogąca zbić z tropu najwybitniejszego krytyka literatury teatralnej (do czego — niema obawy — żaden się nie przyzna), posiała tak potężną gamę walorów czysto teatralnych, że jest kanwą niewyczerpaną dla artysty teatru. Teatr Polski nie uczynił wszystkiego, co uczynić było można. Nie rozwinął ani patosu, ani liryzmu bajki do napięcia właściwego. Rozwinął zato fantastyczność tego widowiska, mobilizując całą technikę, będącą do jego rozporządzenia. Było w tem nieco efektów chybionych i nieco niedociągniętych. Ale to, co pozostało, przekroczyło znacznie poziom wysiłków, widzianych u nas gdzieindziej.

Podobnie pojmując inscenizację „Burzy“ i rozporządzając tymi samymi środkami, możnaby ją wystawić zupełnie inaczej, dając jednak właściwie dopełnienie tylko roboty Teatru Polskiego, niejako wyspę Prospera, widzianą „z innej strony“. Bo, jakem wspomniał, mamy tu do czynienia z gamą niewyczerpaną, na której snuć można niewyczerpaną ilość melodji.

W wykonaniu element groteskowy górował nad lirycznym, z racji — zdaje się głównie — nieszczególnej obsady ról lirycznych.

Dwie francuskie „pièces“: „Panny“ Wolffa i Leroux'a, oraz „Dzieci“ Nepoty'ego nie odpowiadają zapewne temu stosunkowi Teatru Polskiego do repertuaru współczesnego, jaki mu dalsze poszukiwania na drodze sztuki podyktują. Są one niezupełnie koniecznem zaznaczeniem na tej nowej scenie pewnej panującej w tej chwili postaci upodobań bulwarowych.

Teatralnie podobne do siebie, jak dwie krople wody, obie te komedje są pierwszorzędnymi wzorami sztuki świadomej, wysoce kulturalnej, zniżającej się celowo do potrzeb najwulgarniejszej kategorji widzów przeciętnie inteligentnych. Obie posiadają pewne zacięcie społeczne i psychologiczne, kunsztowność formy przy błahości odczucia artystycznego; obie posiadają nadto, a raczej przedewszystkiem, odpowiednią ilość miejsc, przeznaczonych na oklaski przy otwartej scenie, decydujące o „powodzeniu“.

* * *

Scena rządowa ukrywa się za pancerzem stanu przejściowego. Zmiana kierownictwa naczelnego, przebudowa gmachu teatru Rozmaitości, przygotowania do kampanii nowej — to są okoliczności łagodzące fatalnego lata i fatalnej jesieni.

Przy ciągłem posiłkowaniu się niewytłomaczonym repertuarem gorszych i lepszych sztuczydeł, w rodzaju „Dobrej dziewczyny“, „Modnego małżeństwa“, „Prawdziwej miłości“ i tym podobnych, wznowiono, niewiadomo w jakim celu, „Romantycznych“ Rostanda. Wznowiono ich bez wyrazu żadnego.

Wznowienie „Gęsi i gąsek“ Bałuckiego wypadło przypadkowo bardzo dobrze. Przez bardzo długi czas lekceważona, poniewierana twórczość Bałuckiego, doczekała się lepszej doli. Prawdziwie polski, jędrny humor, wyraźnie zdeklarowany styl komedjowy, dowcip opanowany i opanowana kompozycja, czynią z komedji Bałuckiego płyty kamienne, składające się na fundament gmachu Teatru polskiego. Żyjąca jeszcze w Rozmaitościach tradycja uczyniła, że wykonanie „Gęsi i gąsek“ było niemal klasyczne, podnosząc zasadniczą doniosłość Bałuckiego dla rozwoju sztuki teatralnej polskiej.

Naturalnie na „Gęsiach i gąskach“ nie pożywił się przemądrzały snobizm warszawski, raz jeszcze wytrącony z równowagi.

W ofierze złożono mu więc „Lekarza na rozdrożu“ Shawa, nawiasem mówiąc, jedną ze słabszych sztuk jego. Trochę ciężka i nużąca kompozycja sprawiła publiczności zadowolenie, dzięki osławionym paradoksom, w których, co łatwiejsze i banalniejsze trafiały istotnie widzom do przekonania w sposób widoczny. Rodzaj ironii Shawa nie został przez artystów Rozmaitości pochwycony. Sam sposób ujęcia „Lekarza na rozdrożu“ zupełnie nie tłomaczył idei jego wystawienia. Najbliższy był tonu właściwego, z pośród wykonawców, p. Osterwa, pełen tych niespodzianek, cechujących Shawa, tych zwrotów nieoczekiwanych, zacierających granicę między prawdą a absurdem, a nadto pociągający urokiem świeżości artystycznej i aktorskiej.

* * *

Heroldowie zatrąbili na cztery świata strony, że w teatrze Nowości stanie się rzecz niezwykła: odegrana zostanie pantomina „Sumurun“, która robiła furorę u samego pana Reinhardta w Berlinie.

Dzięki staraniom p. Śliwińskiego, łącznie z p. Ordyńskim, zostało nam z całym pietyzmem pokazane owo rzekome dziwo, które okazało się zupełnie niegodnem tego pietyzmu.

Sprawiedliwa walka teatru z nadmiarem literatury, musiała wywołać konieczność eksperymentu: jak też wyglądać będzie teatr bez słowa. Eksperyment jest z natury rzeczy tylko eksperymentem i typowa berlińska „Orygrinalität“ w samej rzeczy niczem poza eksperymentem nie była, pomimo trudów usłużnej reporterji i podatnego snobizmu Warszawy.

Pantomina „Sumurun“ w porównaniu ze starymi baletami, kiedy niekiedy wystawianymi w Warszawie na scenie teatru Wielkiego — niechże mi snobizm warszawski wyba-

czy to bluźnierstwo! — jest okazem staranności reżyserskiej i dekoracyjnej o stopień wyższej, wzamian za co posiada mniej ruchu skoordynowanego, wyrażającego się w tańcu i mniej fantazji, w tym czy innym gatunku. Pozostaje szereg brutalnych awantur, sprowadzonych do postaci względnie łatwego plastycznego rebusa, a nużących już w połowie widowiska. Kilka ładnych scen, jak naprzykład „pochód do haremu" nie kompensuje tej nudy. Co się tyczy samej banicji słowa, upadła jej zasada w chwili, kiedy jedna z aktorek, pod wpływem napięcia dramatycznego, mimowoli krzyknęła na całe gardło: „Jezus, Marja!..."

Biedna Warszawa, obejrzawszy wystawę teatralną, wysłuchawszy konferencji o „Zagadnieniach malarskich w teatrze współczesnym" i wynudziwszy się na reinhardtowskiej Originalität, zupełnie głowę straciła i przestała rozumieć, czego chce od niej ta „reforma teatralna".

A to jest takie proste!

Tylko, że tego jej żaden z teatrów nie powiedział...

* * *

Utyskiwania krytyki na farsę warszawką z powodu niegrania autorów oryginalnych, skłoniły p. Śliwińskiego do wystawienia „Szaławiły" Glińskiego i „A i B" Benedykta Hertza. Jeżeli nieznośny w swej naiwności „Szaławiła" sprawił zawód bolesny na całej linji, o tyle „A i B" żałować kazało, że Benedykt Hertz nie rozporządza tak techniką sceniczną, jak słowem pisanem, które układa się pod jego piórem w doskonałe bajki i satyry. Bo materjał jest w jego farsie zupełnie dobry, ale ulepić zeń dobrej farsy autor nie umiał.

Niepowodzenie pierwszych prób Teatru Nowego nie przesądza jeszcze sprawy na przyszłość.

* * *

Teatr Mały (w Filharmonii) rozpoczął nowy sezon sztuką oryginalną, mianowicie „Złotymi Czasami" Bunikiewicza. Dobry pomysł literacki autora, bogaty w prawdziwe walory poetyckie, nie przedstawia wartości teatralnej. Brak „Złotym Czasom" tej jasności linji wytycznych i wyrazistości kompozycyjnej, jakie są od utworu poetyckiego na scenie nieodłączne.

Po „Złotych Czasach" Teatr Mały szukał materjału dla siebie w lżejszych komedjach i farsach repertuaru obcego, utrzymując je pieczołowicie w charakterze kameralnym, jedynym odpowiadającym tej małej scenie.

Z młodych talentów aktorskich, które zwykł skupiać Teatr Mały, dotychczas uwagę na siebie skierowały panie Rostkowska i Wojciechowska.

* * *

Jubileusz Korzeniowskiego dał okazję Rozmaitościom do wznowienia „Starego Męża", Teatrowi Polskiemu do malowniczego i wzorowego pod każdym względem wystawienia „Wąsów i Peruki", Teatrowi zaś Małemu do dania po raz pierwszy w Warszawie, ze starannością prawdziwą, „Złotych Kajdan".

Niezależnie od częściowego powodzenia tych wieczorów Warszawa uskarżała się nieco — i trudno jej się dziwić — na ciężar obowiązków jubileuszowych, przygniatających nieraz ich stronę podniosłą.

MIR. POZNAŃSKI.

W e r o n a. Odbył się tutaj festiwal ku czci Verdiego. Atrakcją jego było przedstawienie „Aidy" na olbrzymiej arenie na wolnem powietrzu. Przedstawienie wywarło na 50 tysiącach publiczności wielkie wrażenie swoją monumentalnością; w przedstawieniu brało udział kilkuset statystów.

B e r l i n. Nowy sezon teatralny stoi pod znakiem zmian dyrekcyi. I tak dyrekcję „Lessingteatru" objął po zmarłym Brahmie Barnowsky, dyrektorami „Künstlerteatru" zostali: A. Rittner i W. Grunwald, którzy zaangażowali najwybitniejsze siły teatru Brahma. W teatrze tym sensacją będzie inscenizacja „Wilhelma Tella" i „Antoniusza i Kleopatry" przez G. Hauptmana.

Reinhardt wystawia tego roku 13 dzieł Szekspira. „Juljusza Cezara" w cyrku. Z repertuaru jego zasługują jeszcze na uwagę: „Zielona zarzutka" z chińskiego, „Zwiastowanie" Claudela, „Chastelard" Swinburne'a, „Franciszka" Wedekinda, „Po drodze" Rittnera, pozatem cały szereg nowości Hamsuna, Shawa, Galsworthy'ego (pod którego znakiem stoi obecnie repertuar większości teatrów), Molnara, i w. i.

L o n d y n. Wystawiono tutaj z wielkiem powodzeniem baśń B. Shawa p. t. „Androkles i lew".

P a r y ż. Teatr „Porte St. Martin" wystawi z Guitrym w tyt. roli nową sztukę Rostanda p. t. „Ostatni dzień don Juana".

W i e d e ń. Z pośród wznowień na pierwszy plan wysunęły się dwa: „Cyrano" w „Burgu" i „Dzikie kaczki" w „Volksteatrze". „Cyrano" obudził znaczne zainteresowanie ze względu na nowego wykonawcę roli tytułowej, Waldena. „Dziką kaczkę" wznowiono po 17 latach. Poraz pierwszy grano ją w Wiedniu wobec Ibsena — doznała wtedy nader zimnego przyjęcia. Obecnie rozentuzjazmowana publiczność gorąco oklaskiwała wysoce realistyczną grę artystów z Kamerem na czele.

W „Residenzbühne" wystawiono z wielkiem powodzeniem nową sztukę Rittnera p. t. „Człowiek w budce suflera".

W. BR.

REDAKTOR I WYDAWCA HENRYK JUSZKIEWICZ.

CZCIONKAMI DRUKARNI „SZTUKA" W KRAKOWIE.